

Pajzderska Helena Janina
ŚLUBNA OBRĄCZKA

I.

— Sprawiedliwie, proszę pani! Jak pragnę, żeby mi się dzieci zdrowo chowały, tak on nigdy nie umrze.

— Moja Walentowo — rzekłam poważnie — jeżeli chcecie mówić podobne brednie, to się przynajmniej nie zaklinajcie w ten sposób. Osobą, którą temi słowy zgromiłam, była stróżka domu, posiadającego mnie dopiero od tygodnia w liczbie swoich lokatorów.

Odnosiła mi ona niby list, zostawiony u niej podczas mojej nieobecności, ale W istocie przyszła po to, aby mnie wtajemniczyć w dzieje wszystkich dawniejszych mieszkańców, o ile te jej samej były znane.

Napróżno przerwałam jej w połowie opowiadanie o tem państwie z dołu, którzy wyprawiają bale, a komorne płacą kapaniną, i o tej pani z dwiema córkami z pierwszego piętra, do których przychodzą kawalerowie i przysyłają im

kwiaty i cukierki; ale ona, Walentowa, wie pewnikiem, iż żaden z nich żenić się nie myśli.

Napróżno dałam jej do zrozumienia, że. mnie to nic nie interesuje, dlaczego żona urzędnika z banku z bocznej oficyny wychodzi tak często zawoalowana, i za co sprawia sobie takie drogie okrycia i kapelusze; niezrażona kobiecina zaczynała coraz to coś innego, próbując, czy przecież nie natrafi na coś, coby moją ciekawość obudziło.

I trafiła.

Zobaczywszy, że, słuchając jej z roztargnieniem, wodzę wzrokiem po oknach oficyny, zajmującej przeciwległą stronę wąskiego podwórza, zbliżyła się i rzekła tajemniczo, ostrzegającym głosem:

— Niechby ta pani lepiej w te tu okna nie patrzyła, bo się pani, czego Boże broń, może przełęknąć!

— Czego? — zapytałam, zatrzymując mimowoli spojrzenie na tem właśnie oknie, jakie mi wskazywała.

Było ono weneckie, czysto umyte i w tej chwili zasłonięte szarą, płócienną roletą.

— A starego, co przy niem w fotelu siaduje. Ino teraz pewno śpi, bo mu pani zapuściła storę. Oj! proszę pani! takiego drugiego na całym świecie chyba niema!

Podniosła ramiona ruchem przerażenia i podziwu, a jednocześnie patrzyła na mnie wyczekująco.

Ulitowałam się nad tą jej widoczną i tak gorącą chęcią puszczenia wodzy swej wielomówności i, zainteresowana też trochę, rzekłam:

— Cóż to za stary, i cóż w nim takiego nadzwyczajnego?

Walentowa odetchnęła, jakby jej wielki ciężar spadł z piersi.

— Dużoby to o tem było gadania, proszę pani — zaczęła tym samym uroczyście tajemniczym tonem osoby, która wie, że powie coś takiego, czego przedtem nigdy nie słyszano. — Jak sobie tak zagnęła o tem pomyśle, tak mi się w głowie pomieścić nie może, żeby to była akuratnie prawda, a przecie już dziesięć lat na to patrzę, jak, nieprzymierzając, teraz na panią. Ano, to tak było. Myśmy tu nastali, już się ma na piętnasty rok, aż czwartej jesieni przyszła taka sobie porządna pani, ni młoda, ni stara, i najęła dwa pokoje, jeden z tem szerokim oknem, a drugi obok, gdzie te doniczki — widzi pani? Jest i kuchnia i przedpokój, i co potrzeba do wygody, wcale dobre mieszkanie i tanie, bo to, za pozwoleniem pani, ma ten jeden feler...

— Mniejsza z tem — przerwałam — mówcie dalej!

— Ha, no! jak najęła, tak najęła. Zaraz trzeciego dnia, bo to już było po kwartale, zwieźli meble, dwa łóżka, statki domowe; tak mój, co to ma na Wszystko spekulacją, powiada do mnie: "Pewnikiem małżeństwo bez dzieci, będzie spokój. " "A może" — powiadam. Ta pani się

ciągle szwendała, ustawiała, a gdy już wszystko było jak się należy... patrzemy, a tu wchodzi dwóch tragarzy i niosą... o! bodajże cię, jak się to nazywa, co to chorych w tem przewożą?

— Lektyka? — poddałam.

— Rychtyg. Spojrzę ja i jak nie wrzasnę: Jezus, Marya!" aż mnie mój, za pozwoleniem pani, huknął w plecy, żebym była cicho. Ale się taki sam swoim porządkiem zląkł, bo to, proszę pani, niewięcej, tylko jakby kościotrup siedział w tem nosiadle. Głowa gdzieś wpodłe brzucha, broda, żeby nią przebił, ust z pod nosa nie widać, oczy, jak serwatka, a skóra, to już i glina żółciejsza być nie może. A trzęsie się to, a kiwa, a charkocze za każdym odetchnieniem... O! Jezu — myślę sobie — a gdzie też ta pani miała sumienie takiego człowieka na nowe mieszkanie ciągnąć! Toż jeno stać a patrzeć, jak Panu Bogu duszę odda. A i mój powiada do mnie: "To ci bał dopiero! Będzie pogrzeb. " "A będzie — powiadam — niechby już trumnę stalowali, czy co. " I choć się cała trzęsła jeszcze ze strachu, poszłam za nimi bez ciekawość. A pani tymczasem zaraz go na fotel, natarła mu czoło czemsiś mocnem, a że jej sługi jeszcze nie było, więc prosi mnie, żebym jej przyniosła wody na samowar. A no, co nie miałam przynieść? Zrobiła duchem herbaty; stary się napił w taki nieprzymierzając sposób, że mu ona łyżeczką do gardła wlewała, a on co łyknie, to se westchnie, mamrocze: "Oj! moja Karolińciu! oj, długie życie! długie życie", i tak popijając i mamrocząc"

usnął. Jabym tam sobie była dała uciąć trzy palce u prawej ręki, że jutra nie doczeka, a ta i jutro przeszło, i pozajutro, i dziesięć lat całkowitych, a on żyje i żyje. Już mu widać tak sądzono, aby nigdy nie umarł!
I zapewnienie to poparła owem zaklęciem się na zdrowie swoich dzieci, za które ją zgromiłam.

Ale Walentowa wstrząsnęła tylko głową.

— Albo to ja jedna tak mówię? Niech pani spyta, kogo chce w kamienicy, wszyscy wiedzą. Oto na ten przykład, on akademik z trzeciego piętra, co mu usługuję, przecie ciągiem w książkach siedzi, a to samo powiada; i jeszcze go jakosić przeżywa Asucharem, czy jak. Bo i sprawiedliwie, że czysty suchar z tego człeka. Zezechł za życia i już nie umrze —
powtórzyła z najgłębszym przeświadczeniem.

— A ileż on może mieć lat? — spytałam, nie mogąc się oprzeć pewnemu wrażeniu, jakie wywarło na mnie opowiadanie stróżki.

— Musi ze dwieście, albo więcej!

Ruszyłam ramionami, lecz wzrok mój ciekawością przykuty, spoczywał Wciąż na tem zasłoniętym oknie, poza którym kryło się to życie dziwne, tak przesądny postrach swoim trwaniem budzące.

— A ta pani? — zapytałam po chwili — czy to jego wnuczka?

— Bóg ją ta wie, ale juści na Wnuczkę zamłoda. A obok tego, jak mówi do niego, bo on, proszę pani, słyszy jeszcze trochę, to go nazywa

„pan. ” Ha, może to bez wielkie poszanowanie dla takiego wieku. Sługa jej się nachwalić nie może, co to za dobra pani. Grzeczna, spokojna, pracowita! Jak wróci z lekcyi, bo niby jest guwernantką przychodzącą, to zaraz zajmuje się starym, albo się bierze do roboty! A żeby pani widziała, jakie to są roboty! Matko Boska! jak malowanie. Aż oczy bolą patrzeć! Piękne bo i pieniądze za to bierze; daj Boże każdemu. Teraz jak wyszyła serwetkę na stół samemi jedwabiami i z tykutkich kawałeczków atlasu i innych skrawków, to jej ta pani, co ją stalowała, osiemdziesiąt rubli zapłaciła. Prawda, że pół roku nad nią nocami dudłała; aleć zawsze to piękny grosz.

Gadanina Walentowej zaczęła mnie nużyć. Sięgnęłam po książkę, chcąc się jej tym sposobem pozbyć, gdy wtem ona wychyliła się żywo przez okno, wołając:

— O! o! proszę pani! Właśnie z lekcyi wraca. Niechno pani zobaczy! Wyjrzałam prędko.

Przez podwórze szła kobieta średniego wzrostu, szczupła, w czarnej perkalowej sukni, bo dzień był gorący, i czarnym słomianym kapeluszu ze spuszczaćcem się na twarz rondem.

Z pod tego ronda mignęło mi coś śniadego, jakby policzek Kreolki, lecz rysów rozróżnić nie mogłam.

— Zaraz ją pani lepiej zobaczy — upewniała Walentowa. — Ma taki zwyczaj, że jak zkad przyjdzie, to najprzód okno otwiera i kwiatki

swoje ogląda, bo się w nich strasznie kocha. Wszystkie te krzaki, jak je pani widzi, to sama od małości wyhodowała.

Walentowa mówiła prawdę.

Nie minęło pięć minut, gdy niezastłonięte okno otworzyło się i stanęła w nim czterdziestoletnia może kobieta.

Tylko głowa jej wystawała ponad gęstym żywopłotem krzewów, głowa kształtna, niewielka, pokryta bujną masą czarnych, jak krucze skrzydła, włosów, w grube warkocze nad czołem upiętych.

Zaczęła otrząpywać listki troskliwie, oberwała kilka uwiędłych kwiatków białej azalii, porzysuwała doniczki, próbując palcami ziemi, czy jest dość wilgotna.

Ruchy jej były dość powolne, lecz wdzięczne. Patrzyłam na nią dopiero od paru minut, a już pociągnęła mnie ku niej wielka, niewytłómaczoną sympatya i chęć poznania jej bliżej. Nigdy największa piękność nie wywiera na mnie tak silnego wrażenia, jak twarze, napiętnowane śladami cichych, głęboko tajonych, w duszy rozgrywanych dramatów życia, nad których ostatnim aktem zapadła już kurtyna; a twarz nieznajomej należała właśnie do takich.

Była już niemłoda, lecz nie można jej było nazwać zwiędłą. Cerę miała smagłą i zdrową, rysy wydatne o liniach czystych i niepospolitych, oczy bardzo duże, czarne i patrzące jakby przez szarą gazę wiecznej melancholii.

Mogłam jej się przyjrzeć dokładnie, prze

strzeń bowiem pomiędzy naszymi oknami była niewielka, a ona ani razu nie skierowała wzroku w moją stronę. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale zrobiła na mnie wrażenie starej panny, albo raczej starej dziewicy — jeżeli się tak wyrazić można.

Bywają kobiety, tak nawskroś kobiece, tak stworzone na żony i matki, że, jeśli się z tem swoim przeznaczeniem rozminą, wyglądają już potem zawsze, jakgdyby im czegoś brakowało.

Otóż ona wydała mi się jedną z takich.

— Jak się ta pani nazywa? — zapytałam zwracając się do stróżki.

— Karolina Strzemieńczyc,

— A ten staruszek?

— Także Strzemieńczyc. Imię przepomniałam.

— Dziwne nazwisko — rzekłam. — Czy to panna, czy wdowa?

— Nie wiem, proszę pani. Sam gospodarz ich meldował, bo go o to prosiła. Na karcie stoi tylko: "Karolina Strzemieńczyc", i niby jako się z lekcyi utrzymuje.

Przez ten czas kobieta odstąpiła od okna i zniknęła w bocznych drzwiach pokoju.

Pewno poszła do starego — zauważyła niezmordowana Walentowa. — Jużby i najrodzeńska więcej dbać o ojca nie mogła, jak ona o niego. A Boże się zmiłuj, co z nim za męka! O siódmej wieczorem idzie spać do łóżka, a o czwartej w nocy już się budzi, i zaraz trzeba go ubierać i sadzać w fotel, bo wyleżeć nie może. A jada,

to z dziesięć razy na dzień, potroszeczku, jakby ten ptak, i same tylko jarzyny i leguminę; mięsa ani na lekarstwo, sprawiedliwie! I proszę pani, ona mu to wszystko sama przyrządza, karmi go, poi, ubiera, bo gdzieby tam jakiej słudze cierpliwości starczyło. Choćby ta Magdusia, na ten przykład, i pensją ładną bierze, i prezenty dostaje, bo to hojna pani, a taki narzeka i pomstuje, że ogień w nocy robić musi, i powiada, że gdyby nie pani, toby wszystko prasnęła i poszła, tak jej się przykrzy ciągiem kawęczyć! Oj! biedna też to ta pani, biedna, a i końca temu utrapieniu nie będzie, bo on ją pewnikiem przeżyje, jako nas wszystkich. I tu Walentowa, jakby w obawie, żebym jej znowu nie zaprzeczyła, zabrała się prędko do wyjścia, a ja zostałam przy oknie, zadumana nad tem, co od niej usłyszałam.

II.

Upłynęło dni kilka.

Przez ten czas niejednokrotnie spoglądałam w okno weneckie z nadzieją ujrzenia nieśmiertelnego staruszka, lecz zawsze tak się zdarzyło, że roleta była wtedy spuszczone.

Zato panią, czy pannę Karolinę, widywałam często z poza kwiatów i parę razy rozminęłam się z nią na podwórzu lub w bramie. Szła zawsze, jak ktoś, co się do niczego nie śpieszy,

a też i z niczem nie ociąga, a w ruchach jej było coś zagadkowego.

Najsurowsza systematyczność przebijała się u niej we wszystkim, nawet w wiązaniu czarnych wstążek u kapelusza, zawsze na jednakową kokardę pod brodą koło lewego ucha.

Wieczorami długo paliła lampę, a wtedy na tle spuszczonej u jej okna story rysowała się sylwetka pochylonej głowy, i migiała raz po raz podnosząca się ręka, z czego wnioskowałam, że musi pracować nad temi haftami, które takim zachwytem przejmowały Walentową, a także i to, że materyalne jej położenie nie należy do weselszych.

Czwartego dnia nareszcie, spojrzawszy naprzeciwko, zadrżałam mimowoli.

Okno weneckie było odsłonięte, jedno jego skrzydło otwarte, a w tych wązkich, wydłużonych ramach, na ciemnym tle pokoju, jakby pendzlem najdzikszego impresjonisty rzucona, występowała głowa śpiczasta, niewielka, zupełnie łysa, o brudnych połyskach starej kości słoniowej i szkieletowym profilu, który tyle tylko ludzkiego w sobie zachował, aby tem swoim niezaprzeczonem człowieczeństwem budzić tem większy wstręt i przerażenie.

Walentowa nic nie przesadziła. Coś podobnego raz tylko w życiu można było zobaczyć, a jeszcze nie ochłonęłam z pierwszego wrażenia, gdy przez drzwi w bocznej ścianie weszła i zbliżyła się do okna Karolina.

Stary z trudnością podniósł nieco głowę,

osadzoną na cienkiej, podobnej do snopka żył i mięśniów szyi, a nos i broda zaczęły mu się trząść, zapewne od ruchu niewidzialnych, ukrytych pod niemi ust. Kobieta słuchała go, nalewając z flaszki jakiś płyn na

łyżkę, poczem rzekła czystym, dźwięcznym i tak donośnym głosem, że i o moje uszy obity się najwyraźniej następujące słowa:

— Niech pan wypije, to pana zawsze pokrzepia.

Więc rzeczywiście nazywała go panem. Jakież więc stosunek łączy tych dwoje ludzi, noszących jednakowe nazwisko i mieszkających pod jednym dachem? Jakichże innych krewnych mógłby mieć ten starzec stuletni, oprócz wnuków i prawnuków, a ci przecież nie tytułowaliby go tak etykietalnie.

Tymczasem Karolina z wielką ostrożnością napoiła staruszkę, pochylając się nad nim i podtrzymując mu głowę, od której ręka jej odbijała śnieżnym niemal kolorytem, aczkolwiek bez tego punktu porównania można ją było nazwać raczej śniadą.

Poprawiła mu kołdrę, leżącą na kolanach, dała do ręki zieloną gałązkę, którą był upuścił, i nie powiedziawszy już ani słowa, zniknęła.

We wszystkich tych objawach troskliwości nie przebijało się wszakże żadne tkliwsze, cieplejsze uczucie. Było go znacznie więcej na jej twarzy wówczas, gdy oglądała swoje kwiaty i obrywała z nich suche listki.

Staruszek, zostawszy sam, opuścił znowu

głowę tak nisko, że leżała na jednej linii z okrytymi flanelowym szlafrokiem ramionami, i siedział tak nieruchomy, kiedyniekiedy podnosząc rękę i opędzając się od much gałązką, z takim wysileniem, jakgdyby to była maczuga, którąby się na niedźwiedzia zamierzał.

Czyjeś wejście przerwało mi dalsze spostrzeżenia, ale przez cały dzień stali mi przed oczyma ten żyjący szkielet i posągowa, spokojna kobieta, i

mimowoli zapytywałam siebie, jaki tajemniczy węzeł istnieje pomiędzy nimi.

Następującej zaraz niedzieli zobaczyłam Karolinę Strzemieńczyc w kościele na rannej mszy. Była zupełnie tak samo ubrana jak w powszedni dzień, i modliła się bez książki, lecz z wielką pobożnością, klęcząc i pochylając twarz nad splecionymi rękoma.

Stałam blisko niej, bo coś mnie do tej kobiety ciągnęło.

Już pod koniec nabożeństwa uwagę obecnych zwrócił szmer licznych stąpań u drzwi wchodowych.

Był to orszak weselny, zmierzający środkiem kościoła do kaplicy.

Panna młoda, czerstwa, hoża dziewczyna, pyszniła się widocznie białą, kaszmirową suknią, uwydatniającą jej silne kształty, a szerokie stopy, wypływające z atłasowych pantofelków, stawiała rezolutnie, jak przystoi na Antygonę, która ze szczerzej ochoty żywcem się pogrzebać daje.

Oblubieniec, bardzo przystojny, szedł w swo

im fraku z uroczystem przejściem człowieka nieprzyzwyczajonego do tak ceremonialnego stroju.

Była to, jednym słowem, para z porządnej rzemieślniczej sfery, dobrze dobrana i wyraźnie swoim związkiem uszczęśliwiona. Poza tem nic w nich osobliwszego nie zauważyłem, to też zadziwiła mnie bardzo nagle zmiana w twarzy Karoliny, na którą wzrok mój następnie od niechcienia przeniosłam.

Wstała była właśnie, bo ksiądz czytał już ostatnią Ewangelię, i gdy welon panny młodej mignął jej przed oczyma, pobladła mocno, zacisnęła usta, i brwi jej ściągnęły się nerwowo, tworząc na tem spokojnem czole głęboką,

bolesną zmarszczkę. Może dostrzegła moje badawcze spojrzenie, bo odwróciła się szybko i nim orszak weselny przedfilował przez kościół, zniknęła.

Zadawszy sobie parę razy pytanie, co mogło być przyczyną tego dziwnego wzruszenia, doszłam w końcu do prozaicznego wniosku, że jej się poprostu niedobrze z gorąca zrobiło, inne bowiem przypuszczenia wydały mi się nazbyt fantastycznymi.

Bądź co bądź, utrwaliło mnie to tylko W chęci zawiązania z nią znajomości, która to chęć już od kilku dni dręczyła mego niespokojnego ducha.

Zaznajomienie się, to rzecz niby prosta W pomyśle, ale w wykonaniu przedstawiająca, jak tutaj, pewne trudności.

Nie mogłam przecież przyjść do niej i powiedzieć:

— Łaskawa pani, intryguje mnie twoja osoba, poproś mnie siedzieć i opowiedz mi, co znajdziesz ciekawego w twojem życiu.

Trzeba więc było szukać jakiej zamówki.

Z kłopotu wybawił mnie "Kuryer".

Przeglądając dodatek, natrafiłam przypadkiem na następujące ogłoszenie:

"Hafty kolorowe od skromnych do najwykwintniejszych, aplikacje, naśladowanie barelifów, gobelinów i wschodnich makat wykonywa po umiarkowanej cenie K. S. Stróż wskaże".

Tu następował adres domu, w którym mieszkałam. Tego mi tylko było potrzeba. Skoro się sama ogłasza, to już bez żadnej rekomendacji mam prawo pójść do niej i obstalować — naprzykład poduszkę na kanapę.

Oddawna miałam ochotę na ten zbytek, żal mi było trochę zawsze pieniędzy, lecz wobec tego drugiego celu wzgląd ten ustąpił. Nazajutrz, w porze kiedy wiedziałam, że ją zastanę, zadzwoniłam do mieszkania Strzemięczyców. Ona sama mi otworzyła i niepytając, czego sobie życzę, czekała, aż pierwsza cel mojej bytności objawię. Z niejakiem pomieszaniem wykrztusiłam coś o mojej poduszce. Zdawało mi się koniecznie, że spokojne, przenikliwe oczy tej kobiety odgadną, jakimi właściwie intencjami wypchana jest ta poduszka, ona przecież z pełną godności uprzejmością, zdradzającą osobę najlepszego towarzystwa, wprowadziła mnie osobnem wejściem

do swego pokoju i zaczęła rozkładać różne wzory i próby, prosząc, abym sobie z nich jaki rodzaj haftu wybrała.

Były to istotne rzeczy prześliczne; fantazyjne zwłaszcza desenie zachwyciły mnie świetną harmonią barw, wykazującą artystyczne poczucie kolorytu, a podziw mój wzrósł, gdy na pytanie, z kąd bierze tak niezwykle i oryginalne wzory, odpowiedziała mi z prostotą, że wykonywa to wszystko według własnych pomysłów i rysunków.

— Ależ pani jesteś skończoną artystką! — zawołałam, przypatrując się tryumfalnemu pochodowi Afrodyty na wozie, unoszonym przez gołębie w otoczeniu amorków, ciskających na siebie różami, co wyhaftowane wypukło na jasnowiśniowym atlasie popielatym, cieniowanym jedwabiem, robiło wrażenie miękkiej płaskorzeźby. Uśmiechnęła się lekko i zapytała, czy nie chciałabym czegoś podobnego.

— Boję się, czy to nie będzie zbyt pracowity haft na tę cenę, jaką ja na to przeznaczam — odpowiedziałam, wymieniając jej trochę nieśmiało założoną w myśli cyfrę.

— O! nie — odparła — tyle właśnie byłabym żądała.

Zaczęła przerzucać jedwabie i wówczas zauważyłam na jej lewej ręce, drobnej i delikatnej, ślubną obrączkę. Była więc zamężną! — a rzecz dziwna, zblizka więcej jeszcze, niż zdaleka, uderzało w niej owo coś ascetycznie dziewiczego,

co charakteryzuje kobiety niemłode, które nigdy pełnią życia nie żyły.

W tej chwili z drugiego pokoju ozwało się leciuchne poruszenie dzwonka. Karolina położyła trzymany w ręku motek i, przeprosiwszy mnie, wyszła prędko, zostawiając drzwi uchylone.

Powodowana ciekawością, zbliżyłam się do nich nieznacznie i zajrzałam przez szparę.

Staruszek siedział w fotelu przed oknem, naprost mnie i zdawał się drzemać! Żółtawy odblask zapuszczonej stopy czynił twarz jego jeszcze bardziej pergaminową; chrapliwy oddech zakłęsłej piersi rozchodził się po całym pokoju, a oczy, nawpół przymknięte, miały pozór zupełnej martwoty.

— Która godzina? — zapytał głosem silniejszym, niż się tego po tej ludzkiej ruinie spodziewać mogłam.

— W pół do piątej — odpowiedziała Karolina, stanąwszy tuż przy nim. Starzec westchnął ciężko i odrętwiała twarz jego skurczyła się przelotnym wyrazem cierpienia. Nie umiem wypowiedzieć, jak bardzo wstrząsnął

mnie ten widok. Ta iskra jakiegoś uczucia, co ożywia jego zastygłe rysy, nadała mu w moich oczach pozór galwanizowanego trupa.

— Półczwartej godziny do końca dnia — wymówił z wolna. — Długo, strasznie długo.

Zatrzymał się chwilę, podniósł nieco wyschlą rękę, spoczywającą na poręczy fotelu i opuszczając ją, zaraz dodał:

— Długie życie, Karolińciu, długie życie! Karolina nic nie odpowiedziała.

— Czy tam kto jest? — zapytał znowu Strzemieńczyk po pewnym odpoczynku. — Zdawało mi się, że tam ktoś jest.

— Jest jedna pani.

— A to wracaj do niej, Karolińciu, wracaj, tylko wpierw...

Nie dosłyszałam reszty, gdyż cofnęłam się żywo i wchodząca po chwili Karolina zastała mnie przy stole, oglądającą hafty z najobojętniejszą miną.

— Wybacz pani — rzekła — mam bardzo wiekowego starca przy sobie, a tacy ludzie czekać nie mogą.

Uderzyło mnie to nieokreślone wyrażenie. Dlaczegoż nie powiedziała poprostu: mam bardzo wiekowego ojca, dziadka lub krewnego?

— Nie proszę pani o adres — rzekła, widząc, że się zabieram do wyjścia

— bo, jeżeli się nie mylę, pani mieszka w tym samym domu. Zdaje mi się, że panią to widuję nieraz w oknach naprzeciwko.

Nie przypuszczałam, żeby mnie poznała. Nie patrzyła nigdy w moją stronę; przynajmniej spojrzenia nasze nie spotykały się ani razu.

— Tak, istotnie — rzekłam trochę zmieszana — jesteśmy bardzo blizkimi sąsiadkami, i na tej zasadzie spodziewam się, że pani zechce zajść kiedy do mnie, choćby z racji poduszki — dodałam z uśmiechem.

— Nie bywam nigdzie — odparła, lekko skła

niając głowę. — Dnie mam zajęte lekcjami, a wieczorem odrabiam moje obstalunki, ale — dodała żywiej — bardzo serdecznie jestem wdzięczna pani za jej łaskawe słowo.

Powiedziała to w sposób, który mi dał. do poznania, że jeżeli ona wzbudziła we mnie niewytłómaczoną sympatyę, to i ja podobne na nią. Wrażenie wywarłam.

— Ja też wieczorem jestem najczęściej sama — rzekłam zachęcona tem przeświadczeniem intuicyjnym — i gdyby pani przyszła kiedy posiedzieć u mnie z robotą, byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Zarumieniła się trochę, i poważna jej twarz złagodniała, jakby pod wpływem jakiegoś bardzo miłego uczucia.

— O, dziękuję pani, dziękuję — odrzekła z żywością — jakaż pani dobra, że to mówisz!

Wyciągnęłam do niej rękę, i rozstałyśmy się, jak dobre znajome.

III.

Zanim poduszka została skończona, stosunek mój z panią Karoliną wszedł na stopę serdecznej zażyłości.

Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać kobiety, której towarzystwo miałoby dla mnie tyle uroku. Śmiała się nadzwyczaj rzadko, nie była przecież ani zniechęcona, ani zgorzkniała. Usposobienie

jej dawało się porównać z pogodnym dniem bardzo późnej jesieni, który nad melancholią swych nagich gałęzi i martwych liści rozwiesza czysty błękit chłodnego nieba. Bardzo wykształcona, niepospolicie inteligenta i bystra, równie oryginalna w swych spostrzeżeniach, jak w swych pomysłach hafciarskich, posiadała nadto ów drażniący mnie pieprzyk zagadkowości.

Z rozmów przekonałam się, że zna całą Europę; z kim jednak i w jakich okolicznościach odbywała te podróże, nie napomknęła nigdy.

Tajemnicą również było dla mnie jej położenie materialne. Ubierała się bardzo skomnie, pracowała, jak ci, co nie mają zapewnionego kawałka chleba, w codziennym jej życiu wszelako, któremu miałam sposobność przypatrzeć się zbliska, nie było widać owej drobiazgowej oszczędności, idącej w parze z piętami i kłopotami.

Przeciwnie, umiała być nawet rozrzutną, gdy chodziło o kwiaty dla niej, lub miłą niespodziankę dla kogoś. Tym kimś, co prawda, byłam głównie ja, gdyż wogóle stroniła od ludzi, lgnąc tylko do mnie z wyłączością dusz, długo samotnych a tkliwych.

Już w parę miesięcy po naszym zapoznaniu się, spostrzegłszy moje upodobanie w eleganckich gracikach, obdarzyła mnie przepyszną teką z aksamitu i mory, pelami zahaftowaną.

Kiedym się z przyjęciem wzdragala, wymawiając jej, że tyle drogiego czasu dla mnie poświęciła, rzekła mi z dziwnym uśmiechem:

— Mój czas o tyle mi jest drogi, o ile

służy mi do jakiegoś celu. Tym razem celem moim było przyozdobić biurko pani, i proszę mi wierzyć — dodała z naciskiem, jakgdyby odgadując moje myśli — proszę mi wierzyć, że mi to żadnego, pod żadnym względem, uszczerbku nie przyniosło.

A jednak teka ta była kosztownym cackiem, przedstawiającym wartość jakich trzydziestu kilku rubli, lecz cóż było robić? Zachowałam ją i mam dotychczas i piszę na niej to wspomnienie, jasne i świeże w mojej pamięci, lecz w opowiadaniu blade może i spłowiałe, jak te kolory, które niegdyś tak świetnie dobrały artystyczne oczy mojej kochanej Karoliny. Bywając u niej często, poznałam także z czasem i Strzemińczycę, chociaż ona nie kwapiła się jakoś ze zbliżeniem mnie do swego "biednego starca", jak się zwykle, mówiąc o nim, wyrażała.

Szczególny ten Matuzal, odpychający na pierwszy rzut oka, w zetknięciu stawał się prawie sympatyczny. Miewał on chwile zdumiewającej na taką zgrzybiałość ciała przytomności umysłu; można było powiedzieć, że na dwadzieścia cztery godziny dziwnej wegetacji przypadała mu jedna godzina moralnego życia.

Charakter jego, o ile mógł się jeszcze objawiać, był miękki i słodki, jak u dobrego dziecka. Nie skarżył się nigdy na nic, tylko na długie życie.

Odwykł już był od widoku obcych twarzy, jak wogóle od widoku wszystkiego, co poza obrębem czterech ścian jego pokoju leżało, ale mnie

polubił i gdym trafiła na przytomniejszą chwilę, skinieniem ręki zaprasza!, abym przy nim usiadła.

— Wielka to dla mnie pociecha, że pani Karolcię odwiedza — rzekł mi raz, a mówił czasami bardzo niewyraźnie, a innym znów razem aż nadto donośnie. — Ona zawsze sama i tyle ma ze mną biedy.

Westchnął ciężko, powiódł oczami za krzątającą się w drugim końcu pokoju Karoliną i dodał:

— Ktoby się był spodziewał, że to tak długo potrwa!

Westchnął znowu jeszcze ciężiej i zaczął drzemać. Co mnie dla niego życzliwie usposabiało, to widocznie i głębokie przywiązanie, jakie miał dla swojej opiekunki, połączone z dziwnie rozrzewniającym współczuciem, niemal politowaniem. Jest to bardzo niezwykły objaw w stosunku strony słabej do silniejszej. Starcy są i pod tym względem podobni do dzieci; mają ten naiwny, z niedołęztwa pochodzący egoizm, który nie pozwala im rozumieć, że ktoś się dla nich poświęca.

Ale stary Strzemieńczyc rozumiał to tak dalece i tak często o tem wspominał, że nieraz, słuchając go, przychodziło mi na myśl, że Karolina większą chyba czyni z siebie dla niego ofiarę, niżby się na pozór zdawać mogło. Zresztą, było to tylko moje osobiste wrażenie, w tem zapewne źródło swoje mające, iż uroiło mi się koniecznie dopatrywać w stosunku tych dwojga ludzi jakiejś tajemnicy.

Ona sama nie potrącała nigdy, nawet ubocznie, o ten przedmiot. Pewnego dnia, zaszedłszy do nich, zastałam go wyjątkowo rzeźwym i krzepkim. Głowę nawet trzymał jakby trochę wyżej i silniejszym, niż zwykle, powitał mnie głosem. Prosił też, abyśmy przy nim posiedziały, a choć rozmowy naszej nie mógł słyszeć, podnosił niekiedy wzrok to na mnie, to na Karolinę, a gdy z poruszenia ust domyślił się jakiego wyrazu, uśmiechał się i kiwał zlekka głową.

Byłam już oswojona z jego powierzchownością, i wstręt, jaki we mnie zrazu wzbudzał, zastąpiło teraz wielkie politowanie.

Błady promień listopadowego słońca, padając przez okno, kładł się na jego suchych, pergaminowych rękach, spoczywających na otulonych kołdrą kolanach. Strzemieńczyc cieszył się tem chłodnem, wiatrem światłem, co się po paru tygodniach słoty przez chmury przedarło, rzewną radością, właściwą tylko bardzo starym ludziom, którzy w każdym uśmiechu natury widzą pożegnanie.

— Wszak to listopad, Karolińciu? — zapytał nagle.

Karolina skinęła potakująco głową.

— A którego dziś mamy?

— Ósmego — odpowiedziałam za nią, widząc, że pilnie zajęta robotą, zdaje się nie słyszeć zapytania.

— Ósmego... — powtórzył Strzemieńczyc, wyraźnie coś sobie przypominając — ósmego?

Twarz mu się raptem zasepiła, spuścił głowę bardzo nisko i zaczął mruzczyć:

— Dwadzieścia jeden lat... dwadzieścia jeden lat... Ktoby się spodziewał?...

A zwracając się raptem do Karoliny, dodał z rodzajem bolesnego podziwu:

— Prawda, Karolińciu, ktoby się był spodziewał?

Ona zbladła bardziej jeszcze, niż owej niedzieli w kościele, i głęboka brózda przecięła poprzecznie jej czoło. Ręce zaczęły jej drżeć; rzuciła na mnie przelotne spojrzenie, lecz nic nie rzekła.

Milczeliśmy chwilę wszystko troje.

Strzemińczyc poruszył się znowu.

— Bóg da, ostatnia to będzie rocznica — wymówił — zobaczysz, Karolińciu, Bóg się zlituje.

Ona wstała nagle i zbliżyła się do okna.

Od niejakiego czasu była już mizerna skutkiem niepogód, a teraz, gdy tak stanęła w żółtym oświetleniu jesiennego słońca ze śladami hamowanego wzruszenia na twarzy, wydała mi się poraz pierwszy starą, jakby przedwcześnie zniszczoną od padających na nią gruzów sąsiedniej ruiny. Strzemińczyc nie patrzył już na nią. Ogarniało go senne odrętwienie, w jakie po każdym takim przyływie życia zapadał.

— Wyjdźmy ztąd — rzekła Karolina — nieprawdaż, jak tu duszno?

Otworzyła lufcik w swoim pokoju i wychyliła się na podwórze, a wiatr unosił zlekka cięż

kie, hebanowe fale jej włosów nad czołem, z którego owa brózdka jeszcze nie znikła.

Była widocznie czemś gwałtownie wzburzona, ale siliła się na spokój; ja też udawałam, że tego nie widzę, i rozmawialiśmy czas jakiś o rzeczach obojętnych.

— Czy pani będzie dziś wieczorem w domu? — zapytała przy pożegnaniu.

— Jeżeli pani pozwoli, przyjdę po ósmej — dodała, otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź. — Jestem w jakimś dziwnym usposobieniu. Nie chciałabym być sama...

IV.

Karolina przyszła z robotą, jak zwykle.

Czekałam ją przy nakrytym stoliku, i usiadłyśmy do herbaty, ale rozmowa jakoś się nam nie kleiła.

— Czy pan Strzemińczyc już śpi? — zapytałam, nalewając jej drugą szklanekę.

— Śpi. Zostawiłam przy nim Magdusię.

— Niezwykle był dzisiaj ożywiony — rzekłam znowu z ukrytą chęcią wybadania jej raz przecież.

— Tak, istotnie.

— Powiedz mi pani — zagadnęła raptem, podnosząc na mnie zmęczone i zlekka zaczerwienione oczy — czy może być coś okrutniejszego nad wszelkie rocznice...

— To zależy — odparłam — jeżeli to jest rocznica jakiejś szczęśliwej chwili.

— Ach! choćby i taka. Sama chwila i doznane w niej szczęście nigdy nie wraca, a w zestawieniu z obecną, najczęściej zamienia się w bolesną ironię lub w dantejską skargę. Nie, stanowczo nienawidzę rocznic.

— A cóż dopiero — ozwała się znowu po chwili, jak gdyby nie mogąc porzucić tego przedmiotu — gdy ta rocznica stawia nam przed oczy to, o czym przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni staramy się zapomnieć; gdy jest nielitościwym chirurgiem, zrywającym bandaż z rany, której się nie chce dać zagoić! Ach, pani, jak to ciężko święcić rocznice śmierci ukochanych, lub pogrzebu własnego szczęścia, własnych nadziei, lub... własnego szaleństwa!

Oparła czoło na dłoni i zadumała się, obracając machinalnie łyżeczkę W pustej szklance.

Brała mnie wielka ochota zapytać, do jakiej z tych kategorii rocznic należy dla niej dzień dzisiejszy, wstrzymałam się jednak, w obawie rozdrażnienia jej jeszcze bardziej.

Lecz ona czuła widocznie niepohamowaną potrzebę wywnętrzenia się, jaka napada czasem bardzo skryte natury i mówiła dalej, nie zważając na moje milczenie.

— Nieraz zdaje mi się, że gdybym tak mogła ująć w słowa wszystko to, co przemyślałam i przetrawiłam w sobie przez długie lata, gdybym mogła opowiedzieć komuś, coby mnie słuchał tylko sercem, a nie pamięcią, dzieje mojego dziw

nego życia, lżejby mi było. Pani patrzysz na mnie czasami, jakgdybyś szukała czegoś w mojej duszy, i... o! nie zaprzeczaj pani — dodała, widząc moje poruszenie — mnie to, owszem, sprawia pewnego rodzaju przyjemność. Od tak dawna spotykam już same tylko obojętne spojrzenia. Dobrze chociaż budzić jeszcze czyjaś ciekawość, kiedy się już na niczyją miłość liczyć nie może.

— Za wyjątkiem mojej w każdym razie — rzekłam, przysuwając się do niej i ujmując jej szczupłą, pokłóta od igły rękę. — A i pan Strzemięczyc kocha przecież panią — dodałam z pewną nieśmiałością, bo czułam, jak słabą jest ta pociecha.

— Pan Strzemięczyc — powtórzyła smutnie. — Biedny starzec! Tak; on jest bardzo przywiązany do mnie. Aleśmy sobie nawzajem mimowoli zatruli życie. Ja jemu na schyłku, a on mnie...

Umilkła i wstała od stołu.

— Ach! co tam — rzekła — lepiej o tem nie mówić... a może i lepiej mówić, sama już nie wiem, to tylko wiem, że... że... rady sobie dzisiaj dać nie mogę.

I po raz pierwszy w mojej obecności, ta kobieta silna, spokojna, panująca nad sobą, rozplakała się rzewnie, łkając jak dziecko, co mnie tak zmieszało, że stałam tylko nad nią, nie wiedząc czem ją uspokajać!

Ona też sama prędko otarła oczy.

— Daruj mi pani — rzekła, siląc się na uśmiech — nie powinnam była przychodzić... jestem

dziś niemożliwą do towarzystwa. Pójdę już chyba sobie.

— Ani pani myśl o tem — odparłam, zatrzymując ją za rozpaloną rękę. — Owszem, zostanie pani tu jaknajdłużej, będziesz milczeć, mówić, płakać, co ci się podoba, tylko samą ci być nie dam.

Zaledwie to wyrzekłam, drzwi się otworzyły i wpadła zadyszana Magdusia.

— Proszę pani — zawołała z progu — niech pani prędko idzie, bo ja sobie nie mogę dać rady z panem. Obudził się i gwałtem chce się zrywać z łóżka, a patrzy tak strasznie... Ja się boję!

Karolina chwyciła leżącą na krześle chustkę i, pocałowawszy mnie w milczeniu, wybiegła z pokoju, ale ja dogoniłam ją na schodach.

— Idę z panią — rzekłam — może przydam się na co.

Próbowała odwieść mnie od tego zamiaru, mówiąc, że żadnej pomocy nie potrzebuje, jednocześnie przecież ścisnęła mnie z wdzięcznością za rękę i łzy napęłniały jej oczy, gdyż każdy dowód współczucia dziwnie ją wzruszał.

Zastałyśmy Strzemięczycyca w gorączce. Zdołał usiąść o własnej sile i zsuwał się rękami z pościeli, a bose, strasznie wyschłe nogi, zwieszane za krawędź łóżka, niecierpliwie szukały ziemi.

Lampka nocna za zieloną umbrelką rzucała siny odblask na bieliznę, okrywającą zgięty kadłub starca, którego bezbarwne i przygasłe zwykle

oczy połyskiwały teraz w cieniu, jak dwa błędne ogniki. Okropny był w tej chwili.

Nie poznał nas, ale dygocącemi rękami chwycił się naszych sukien, koniecznie usiłując powstać.

— Możeby posłać po doktora — szepnęłam z mimowolnym drżeniem — może to już...

Karolina wstrząsnęła przecząco głową.

— Nie, to przejdzie — odrzekła, odzyskując swój zwykły spokój. — Nieraz już tak było. Zadużo dziś mówił.

Dźwignęła go za ramiona z niepospolitą siłą i ułożyła napowrót na poduszkach.

— Weź pani, proszę, tę flaszeczkę z okna — mówiła dalej, okrywając mu nogi kołdrą — i nalej na łyżkę dziesięć kropel. Trzeba także otworzyć lufcik. Świeże powietrze będzie dla niego najlepszym lekarstwem.

Ale Strzemińczyc miotał się ciągle niespokojnie.

— Gdzie ona? — mruczał, gdym się nad nim z łyżką pochyliła, — gdzie Karolińcia?... Gdzie moja żona... moja żona?...

Nie umiem wypowiedzieć, jak dziwne wrażenie sprawiły na mnie te dwa proste wyrazy, padające wśród ciszy nocnej z ust tego starego aż do fantastyczności człowieka.

— Co on mówi? — zapytałam, zwracając się do Karoliny.

— Prawdę — odpowiedziała spokojnie. — To jest mój mąż.

Patrzyłam na nią i na niego, nie wierząc jeszcze własnym uszom.

— To niepodobna! — wykrzyknęłam, zapominając o kroplach, które się na kołdrę wylały. — To być nie może!

Karolina odebrała mi łyżkę w milczeniu i nalała nową dozę płynu.

— To ja... Karolina — rzekła bardzo głośno i powoli, podsuwając rękę pod łysą jego czaszkę. — Jestem przy panu. Trzeba to wypić.

Natarła mu skronie i ręce eterem, otworzyła lufcik, bo ja stałam bez ruchu, jak odurzona, i krzątała się około niego, dopóki uspokojony nie zasnął.

Wówczas wyszła do drugiego pokoju, a ja pośpieszyłam za nią.

— Powiedz mi pani — zawołałam, chwytając ją za ręce — on to w gorączce mówił, i pani mi w gorączce odpowiedziałaś... To niemożliwe! To potworne!

— To prawdziwe — odrzekła, ściskając mi silnie dłonie — prawdziwe, i... dziś jest dwudziesta pierwsza rocznica naszego ślubu.

— Dwudziesta pierwsza! Wielki Boże... Więc ileż pani lat miałaś wtedy?

— Dwadzieścia dwa niespełna.

— A on?

— On? Osiemdziesiąt pięć!

— To okropne!

Puściłam jej ręce i spoglądałam na nią z przerażeniem i grozą.

Karolina zrozumiała ten mój wzrok.

— Wierzaj mi pani, — rzekła z pewną dumą — że mniej okropne, niżby się zdawać mogło. Nie zawleczono mnie gwałtem do ołtarza, a i ja się dla pieniędzy nie sprzedałam.

— Więc cóż panią do tego skłonić mogło? — zawołałam, bardziej jeszcze, jeżeli można było, zdumiona. — Przecież nie wmówi pani we mnie, że miłość!

Uśmiechnęła się z odcieniem goryczy.

— Miłość? — powtórzyła — nie znałam jej nigdy w tem znaczeniu, W jakim ją pani ma na myśli. Nie przyszła, dopóki mogła... a potem już jej przyjść nie było wolno.

Osunęła się ruchem wielkiego znużenia na kanapkę i przyglądała się z dziwnym wyrazem swojej ślubnej obrączce, której zniszczone, wytarte złoto, połyskiwało blado przy świetle lampy.

— Czy pani już odchodzi? — zagadnęła mnie po chwili.

— Czy pani chce, abym została? — zapytałam nawzajem.

Za całą odpowiedź przyciągnęła mnie i posadziła obok siebie.

Czas jakiś pozostałyśmy tak w milczeniu. Widzę jeszcze ten schludny, małą mleczną lampą oświetlony pokoik, łóżko, osłonięte kretonową kotarą, starannie pielęgnowane rośliny na oknie, których błyszczące liście ciemnymi plamami odbijały się na spuszczonej storze, stół, zarzucony stosem włóczek, jedwabiów i różnokolorowych

skrawków materii; widzę bladą głowę Karoliny, opartą o ciemne wystanie kanapki; słyszę plusk powolnego jesiennego deszczu, który się na dworze rozpadał, i dochodzący z drugiego pokoju, jak stłumiony, głuchy świst parowej maszyny, trudny oddech śpiącego Strzemięczyca. Jakaś przenikająca melancholia wiała z każdego przedmiotu, a zwłaszcza z tych odgłosów rozplakanej, chłodnej natury i tlejącego, jak uparta iskra pod popiołem, ludzkiego życia.

Karolina pierwsza zaczęła mówić.

— Rada jestem — rzekła, przeciągając ręką po czole, — żeś się już pani dowiedziała prawdy i... nie przezemnie. Nieraz już przychodziło mi na myśl, aby to pani powiedzieć, ale mówiłam sobie zawsze: po co?! Cóż ja to może obchodzić, czy ten człowiek nazywa się moim wujem, dziadkiem, czy mężem, kiedy i dla mnie samej jest on w gruncie tylko biednym, samotnym starcem, potrzebującym mojej opieki. Cóż tu znaczy nazwa?

Była i jest pustym dźwiękiem, ale ja się do niej przyznawać przed ludźmi nie chcę. Czuję dobrze, jak dziko przedstawiać się musi taki stosunek, jak różne budzić domysły. Pani sama patrzyła na mnie przez chwilę, jak na bohaterkę sensacyjnego dramatu. Tymczasem trudno o przeszłość mniej obfitą w zajmujące, romantyczne epizody, niż moja, a jednak całe moje życie było jedną straszną walką. Ale, widzi pani, los i ja byliśmy, jak ci dwaj zapaśnicy, co zdają się stać nieporuszeni na miejscu, w chwili, gdy się najbardziej mociują, dlatego, że siły ich są równe.

Widz patrzy i ziewa, a im mięśnie pękają, i krew pali się w naprężonych żyłach... Nie Warto opowiadać o takich walkach.

— Jak komu; — rzekłam żywo — we mnie w każdym razie nie znajdzie pani ziewającej słuchaczki.

Karolina westchnęła ciężko.

— A więc dobrze — rzekła. — Uprzedzam tylko, że, jeśli się pani spodziewa czegoś ciekawszego, to się zawiedzie.

Poprawiłam się na kanapce tym mimowolnym ruchem, jakim przysposabiamy się do wygodnego słuchania, a ona tak mówić zaczęła:

— Zdarzyło się pani może spotykać rodziny, w których jedna osoba jest przedmiotem szczególnej miłości, starań i myśli? Czasem bywa nią jedno z dzieci, czasem jedno z rodziców. U nas takim Benjaminskiem była moja matka. Ojciec kochał ją szalenie, ja ubóstwiałam bałwochwalczo, młodsza siostra, najśmielsza do niej, jako jej faworytka, pieściła ją po całych dniach. Wszystko troje patrzyliśmy jej tylko w oczy i zgadywali najdrobniejsze chęci. Bo też to była taka dziwnie Wątpa, delikatna i cudna

istota, że niepodobna się z nią było obchodzić, jak z człowiekiem, lecz jak z kwiatem lub filigranowem cackiem. Poszła za męża w siedemnastym roku życia i wyglądała na panienkę, wówczas, kiedy ja już dorastałam. Była pieszczoną jedynaczką w domu swoich rodziców i taką pozostała zawsze. Gospodarstwo oddała w ręce babki, która po rychłej śmierci dziadka zamieszkała przy nas;

mąż myślał o wszystkich jej potrzebach i przyjemnościach, dzieci dostarczały jej tylko pociech i rozrywek.

Gdyśmy były małe, stroiła nas, jak laleczki i bawiła się nami; wykształceniem mojem — bo siostra znacznie młodsza ode mnie była — kierował ojciec, człowiek wielkiego rozumu i serca, jemu zawdzięczam gruntowne i poważne wiadomości, jakimi wzbogaciłam mój umysł żywy i żądny wiedzy.

O ile matka moja miała w sobie jakąś wschodnią, leniwą miękkość i ociężałość; o ile przez całe życie była łagodnym, ślicznym, niepraktycznym dzieckiem, o tyle ja rosłam na czynną, energiczną i stanowczą kobietę. Było coś męskiego na dnie mego charakteru, chociaż serce dał mi Bóg nawskroś niewieście. Roztkliwiałam się z łatwością, lubiłam pielęgnować dzieci i wszystkie słabe istoty i marzyłam o poświęceniach dla ukochanych, jak o największych rozkoszach. Ojciec mój był bardzo wziętym doktorem i miał ogromne dochody, ale utrzymanie domu pochłaniało je w zupełności. Zajmowaliśmy wykwintny apartament na pierwszym piętrze; buduar mojej matki był jednym z najpiękniejszych w całej Warszawie, a jej toalety balowe i wyścigowe stanowiły przedmiot zachwytów kuryerowych sprawozdań. Kiedy byłam

mała, obiecywano mi za największą nagrodę, że przyjdzie mi się pokazać przed wyjazdem na jaką zabawę. Ja wówczas przez cały czas starałam się być bardzo grzecz

na, a kiedy już mnie ułożono w łóżeczku, ona stawiała nade mną w obłokach gazy i koronek, bo aksamity za ciężkie były dla tych delikatnych kształtów, podawała mi swoje obnażone rączki, okute w drogocenne bransolety, i trzęsła aureolą swych jasnych loczków nad moją senną twarzyczką. Nie lękała się, abym ją pogmiotła, o! nie, lekceważyła zarówno stroje, jak pieniądze, za które je kupowała; pozwalała mi wodzić rękami po swych ślicznych ramionach, obejmować się za szyję, na której połyskiwały brylanty, a potem odchodziła lekko, szeleszcząc trenem, a ja zasypiałam i śniłam o mojej pięknej mamie, jako o nadziemskim zjawisku.

Kochała namiętnie kwiaty, i to jedno dziedzictwo zostało mi po niej. Czasem ojciec, wysoki i silny mężczyzna, brał ją żartobliwie na ręce i nosił po pokoju. Ona bawiła się jego czarnymi włosami, śmiejąc się, jak dziecko, a my z siostrą całowałyśmy na wyścigi jej maleńkie nóżki, z których spadały zawsze za duże pontofelki!

Ach! pani, trudno sobie wyobrazić szczęśliwszą nad naszą rodzinę. Tworzyliśmy wszystko czworo harmonijny akord uczuć, usposobień i potrzeb, dopełniających się wzajemnie.

Lecz nagle pękła jedna struna w tym akordzie.

Ojciec mój, w pełni lat męzkich i pożytecznej działalności na polu nauki, umarł tragiczną śmiercią, z gangreny od małej ranki, jaką sam sobie nieuważnie przy operacji zadał. Miałam

już wtedy lat osiemnaście i mogłam ocenić cały ogrom straty, jaka nas dotknęła. Rozpaczając nad jego trumną, myślałam jednocześnie, z niemniejszym bólem, co się stanie z temi dwiema istotami, które tak kochał, a które teraz były dla mnie Wszystkimi.

Znałam o tyle nasz stan majątkowy, aby wiedzieć, że grom ten zdruzgotał zarówno nasze szczęście domowe i nasz zbyt materyalny.

Nie omyliłam się.

Gdy po ochłonięciu z pierwszych ciężkich wrażeń sieroctwa i żałoby przyszło rozejrzeć się w interesach i pomyśleć o dalszym życiu, pokazało się, że od nędzy dzielą nas tylko szczątki dotychczasowej zamożności. Położenie nasze podobne było do owego nagiego gruntu, na którym już dom nie stoi, ale którego jeszcze z pod gruzów nie widać. Zostałyśmy na świecie same, cztery kobiety, a raczej ja jedna, młoda, niedoświadczona dziewczyna, i troje dzieci, z których najstarsze miało lat siedemdziesiąt, a najmłodsze dziesięć.

Matkę moją złamało to pierwsze nieszczęście, jak mroźny wiatr łamie cieplarnianą roślinę. Boleść jej po stracie męża była równie dziecięca, naiwna i tkliwa, jak ona sama. Nie miotała się gwałtownie i nie padała zemdlna na trumnę, ani też nie zamknęła się w martwym, przerażającym spokoju, jak wiele kobiet w takich razach. Płakała tylko po całych dniach cicho i rzewnie, zasunięta w kącik swego aksamitnego szezlonżka, aż dopóki nie przyszłam jej powiedzieć, ukląkłszy

przy niej i tuląc jej złotą główkę do piersi, że trzeba z niego wstać, bo szezlonżek wraz z innymi meblami sprzedany, i przenieść się do trzech pokoików, jakie na tańszej ulicy, w niepozornej oficynie wynalazłam. Biedaczka nie mogła zrazu pojąć, czego chcą od niej. Ten Zbytkowny komfort, ta niepamięć na jutro, ten subtelny sybarytyzm, w jakim dotychczas żyła, Wszystko to wydawało jej się czemś tak naturalnym i nieodłącznym od niej, że nawet jej przez myśl nie przeszło, aby się to kiedyś zmienić mogło.

Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedym ją poraz pierwszy do nowego mieszkania wprowadziła. Piętro było pierwsze, ale schody brudne i niewygodne, jak zwyczajnie w oficynach, a matka moja wstępowała po nich w swej żałobnej sukni, która ją jeszcze drobniejszą czyniła, jak wylęknione dziecko, prowadzone za karę do ciemnego pokoju, opierając z odrazą swą maleńką rączkę na chropowatej poręczy. Ona się brzydziła wszystkim, co nieestetyczne; umiała żyć tylko w atmosferze woni, światła i ciepła. Teraz coraz mniej jest takich istot. Życie twardą ma rękę dla wszystkich, i albo je odrazu zabija, albo hartuje. Moja matka była jednym z ostatnich owych pięścidełek losu, jakie się dawniej nazywały kobietą.

Ze sprzedaży sprzętów, kosztowności i z pozostałej w biurku ojca gotówki utworzył się kapitalik, od którego procent w połączeniu z emeryturą babki, wdowy po wysokim urzędniku, pozwalał na jakie takie utrzymanie. Ale ja nie chcia

lam jakiego takiego utrzymania dla mojej matki. Postanowiłem sobie, że w miniaturze otoczę ją tem wszystkim, do czego była nawykła.

Przystroiłam jej pokoi, jak mogłam, najlepiej, wycofałam nawet ów szezlonżek z ogólnej wyprzedaży, i łóżko jej na rzeźbionym postumencie, i te atlasy, i puchy na których sypiała.

Pomna na oranżeryę, jaka dawniej zdobiła jej buduar, przynosiłam jej latem kupowane na targu bukieciki, a zimą małe białe azalijki, które jej kwitły po parę tygodni.

Miałyśmy tylko jedną sługę; ale ja byłam drugą i pomagałam jej We wszystkim. W wolnych godzinach uczyłam moją siostrzyczkę, sposobiąc się na niej do nauczycielskiego zawodu, o którym od pierwszej chwili zaczęłam myśleć.

Nad moim osobistym losem nie ubolewałam bynajmniej. Z natury usposobiona byłam bardziej do pracy, niż do używania, i bezcelowe życie panny na wydaniu, jakie na krótko przed śmiercią ojca zaczęło być moim udziałem wcale mnie nie nęciło. Pamiętam mój pierwszy i ostatni bal, na którym tańczyłam kontredansa nawprost mojej matki, a mój tancerz wziął ją za moją siostrę, usłyszawszy, że mnie nazwała po imieniu. Żaden z komplementów, do mnie mówionych, tak mnie nie ucieszył, jak ten tryumf wdzięków i młodości mojej ukochanej matki.

Niestety! w niespełna rok po śmierci ojca nikt, spojrzawszy na nią, nie byłby się W ten sposób omylił. Przybyło jej z piętnaście lat, wyżółkła, pochylila się i zaczęła kaszleć.

Na nic mi się nie zdało chronić ją od niewygód, kiedy nie mogłam ochronić jej od zmartwień, a nic tak nie niszczy takich wątłych organizmów, jak zmartwienia.

Ona, taka zawsze uśmiechnięta, teraz wzdychała tylko i płakała. Płakała, modląc się za duszę ojca i całując jego fotografię; płakała, patrząc na mnie, że się zapracowywam, że marnuję młodość moją, że nie pójdę za męża; płakała, pieszcząc małą Lucię, że nie będzie za co jej wykształcić; płakała wreszcie, całując pomarszczoną rękę starej swojej matki, na myśl, że ją zapewne niezadługo utraci. O ile dawniej żyła w szczęśliwej nieopatrzności dziecka, o tyle teraz stała się chorobliwie przewidująca i troszcząca się o przyszłość. Co chwila spodziewała się jakiegoś nowego nieszczęścia, drżąc jak biedna ptaszyna, co nie Wie, gdzie się schronić przed nadciągającą burzą.

I nieszczęścia nie dały na siebie czekać! Najprzód babka umarła, a ta powtórna żałoba zrobiła znów pustkę w naszych sercach i szczerbę w naszych dochodach. Zresztą następnego roku trzeba było naruszyć kapitał, co, naturalnie, pociągnęło za sobą zmniejszenie procentu.

Wystarałam się wprawdzie o parę lekcyi na mieście, nędznie płatnych i uciążliwych, a nabiegałam się za nimi i naprosiłam po kantorach, jak o złote jabłko. Do wszystkiego, jak pani wiadomo, potrzeba stosunków, a my nie miałyśmy żadnych. Krewnych bliższych nie było, a znajo

mi zapomnieli o nas, a raczej myśmy z nimi pozrywały, gdyż matka moja nie mogła wprost znieść widoku osób, z którymi przestawała w dniach szczęśliwych. Zresztą do smutnych i zbiedniałych nikt się tak gwałtownie nie garnie, i odosobnienie, w jakim nas zostawiono, przeszło nawet nasze chęci.

Jedynym naszym gościem i przyjacielem był pan Strzemieńczyc.

— Ach! — przerwałam mimowolnie, przysuwając się do Karoliny, która także na chwilę umilkła.

— Tak, on! — mówiła dalej po pewnej przerwie. — Był wtedy dosyć jeszcze krzepkim staruszką, pomimo swoich osiemdziesięciu paru lat; miał miłe, łagodne obejście, dobry zawsze humor i jak najszczerze chęci stania się nam w czemkolwiek użytecznym. Dawny kolega dziadka, matkę moją znał od dziecka i nawet, gdy wyrosła na cudnej urody dziewczeczkę, zakochał się w niej ostatnią, starokawalerską miłością, jak się sam, wspominając o tem, wyrażał, ale naturalnie ogromna różnica wieku kazała mu stłumić w sobie to uczucie.

Karolina wyrzekła to trochę przyciszonym głosem, nie patrząc na mnie. Czowała zapewne, jak dziko muszą brzmieć takie słowa w ustach żony człowieka, który był za stary na męża jej matki!

— Po śmierci dziadka i ożenieniu się mego ojca, pan Strzemieńczyc usunął się zupełnie. Traf jednak zrządził, że przytuliłyśmy nasze sieroctwo

pod tym samym dachem, pod którym on wiódł systematyczne, samotne życie emeryta, rozdzielone pomiędzy kąpiele w Wiśle, gazety, partya szachów w cukierni i układaniem logogryfów, będących jego słabą stroną. Z nami przybył mu w niem w nowy żywioł.

Jak tylko się dowiedział, kto są jego sąsiadki, przyszedł natychmiast przypomnieć się dawnym znajomym. Widzę go jeszcze, jak wchodzi zakłopotany i wzruszony w letnim musztardowym paltocie, z szyją owiazaną jedwabną chustką, zadziergniętą na misterny supełek pomiędzy śpiczastymi rogami wysokiego kołnierzyka, z dużym, filcowym kapeluszem w ręku i spoconą, błyszczącą łysiną.

siędziałam wtedy przy babce, która się już prawie nie podnosiła z fotelu, i rozplakałam się, patrząc na powitanie obojga staruszków. A już co moja matka, to poprostu we łzach utulić się nie mogła, tak ją te niespodziewane odwiedziny rozrzewniły. Nie poznała go z początku. Pan Strzemieńczyc podobno miał być jeszcze pięknym mężczyzną mimo swych siwych włosów wówczas, gdy jako szesnastoletnia panienka, niewinną swą poufałością roznieciła pożar w jego sercu; teraz ujrzała go łysym, pomarszczonym starcem i przyglądała mu się z rodzajem bolesnego zdziwienia.

— Ach, panie Strzemieńczyc — mówiła, załamując swe wychudłe rączki — jak się to wszystko strasznie zmienia na tym świecie! Kiedyś pan mnie ostatni raz Widział, pamiętasz pan! to było W miesiąc po moim ślubie. Przyszliśmy do ro

dziców; pan grałeś w szachy z moim ojcem, a ja Wam szerokim rękawem mojej ślicznej, różowej sukni zmiotłam przez pustotę całą partyę. Pan mnie wtedy nazwałś dzieckiem... zawsze dzieckiem, a teraz!...

San Strzemięczyc słuchał tych skarg mojej biednej matki, usiadłszy przy jej szezlonżku i patrzył na nią mrugającymi oczyma z takim serdecznym pocziwym wyrazem, że mnie to natychmiast dla niego zjednało, i starał się ją pocieszyć i uspokoić, ale mu to szło bardzo niezgrabnie, bo sam widocznie byłby się rad uciekł do pomocy swego szafirowego fularu, co mu z kieszeni wyglądał.

I jemu także bolesną być musiała ta ruina Wdzięków młodości i szczęścia, na jaką patrzył.

Potem matka przedstawiła mu mnie i siostrę i była jakaś dziecinna duma W jej głosie i ruchu, z jakim wskazywała na mnie, wysoką, bujnie rozwiniętą dziewczynę, mówiąc:

— Moja córka!

Popisywała się przed tym, który ją niegdyś na kolanach huśtał i zawsze za dziecko uważał, powagą swego macierzyństwa.

On nas też po ojcowsku ucałował i zaczął nazywać odrazu po imieniu, a my schylałyśmy się mu do ręki, pamiętając, że był szkolnym towarzyszem naszego dziadka.

Odtąd nie było dnia, żeby pan Strzemięczyc do nas nie zajrzał. Wnosił z sobą atmosferę pogody duchowej i łagodnej wesołości, z którą nam było dobrze. Nawet matka uśmiechnęła się

nieraz, gdy zaczął opowiadać o swoich miłosnych przygodach, bo miał to być wielki zdobywca serc za młodych lat.

— Tak, tak — dodawał zwykle na zakończenie — różnie bywało, człowiek tryumfował, i nad nim tryumfowano; ale już co najcięższe, to przyszło na ostatek. Aj! paniż moja miła, jakiego ty mnie bigosu narobiłaś. Bo to nic gorszego, jak kiedy się stary kot złapie. A złapałem się szpetnie; teraz to już i student nawet tak się nie kocha, jak ja się w pannie Lolci kochałem.

— Ale to być nie może — mówiła, niby broniąc się moja matka. — Ja tego nigdy nie dostrzegłam. Panu Strzemińczycowi zdawało się chyba.

— Pięknie mi się zdawało! Ej, pani moja, smutna to rzecz, ta starokawalerska miłość! To jakgdyby wszystkie inne, co minęły, odżyły naraz; człowiek czuje, że mu daleko do tego, czem był, ma już swoje przyzwyczajenia, lubi spokój, dba o swoje wygodę, nosi watę w uszach i na

na ciera nogi spirytusem kamforowym, a tu serce budzi się ni w pięć, ni w dziewięć i wywraca wszystek ład i masz tobie tęsknotę, co krok w krok za tobą chodzi i z każdego pustego kąta wygląda; masz żal zmarnowanego życia, i wstyd własnej głupoty, i chwile głupszej jeszcze nadziei, co drwi sama z siebie. A potem ojciec tej psotnicy, co ci to wszystko zgotowała, bierze cię pod ramię i pyta po dawnej przyjaźni, czy ten lub ów byłby odpowiednim mężem dla twojej bogdanki! Trzeźwiejesz wtedy, człowieku, i zęby ściskasz,

aby cię nie odgadnięto i nie wyśmiano. Ot! taka to i starokawalerska miłość! Śmiał się pan Strzemińczyc, mówiąc w ten sposób, ale ucho moje chwyciło w tym śmiechu nutę goryczy, i nie wiem, czemu, żal mnie ogarniał, gdy nasz staruszek wstawał potem i zabierał się do siebie, gdzie

go nikt nie czekał wśród milczących, pustych ścian. Myślałam wtedy, że to strasznie ciężko być takim samotnym na takie stare lata, i przez porównanie moje własne życie wydawało mi się prawie Szczęśliwem. Gdy babka umarła, pan Strzemieńczyc poprowadził moją matkę za trumną, za którą, prócz nas dwóch i służącej, nikt nie szedł. Płakał razem z nami i wspominał o własnej śmierci, która mu zapewne nie da długo dźwigać dziewiątego krzyżyka, czem nas jeszcze bardziej rozrzewniał. Już to coraz częściej przychodziło mu się z nami smucić. Widział, że nasze materialne położenie pogarsza się z dniem każdym, bo drożyzna rosła w mieście, a z nią wydatki; kapitałik malał, a innego źródła dochodów, prócz owych lichych lekcji, nie było. Byłby pragnął z całej duszy nam dopomóc, ale najprzód sam miał tylko skromną emeryturę, a podrugie, myśl o przyjęciu wsparcia od kogoś była dla mnie gorącym żelazem, przyłożonem na żywą ranę naszego ubóstwa.

Ale miałam przynajmniej tę pociechę, że mu się czasem z jakim kłopotem zwierzyłam, bo byłabym to sobie uważała za grzech ciężki, gdybym choć jedno westchnienie moją skargą z piersi ukochanej matki wydobyła, a wszystko tłumić

w duszy — to Wielka męka. Nie musiałam jednak bardzo narzekać, gdyż pan Strzemieńczyc unosił się zawsze nad moją wytrwałością i energią. Nazywał mnie dzielną białogłową, Małgorzatą z Zebocina i tym podobnie. — Widzisz, moja Karolińciu — mawiał przytem — ja dla takich, jak ty, kobiet mam wielki respekt i admiracją, bo gdy się jedna taka udarzy, to więcej z niej pożytku, niż z dziesięciu mężczyzn, ale to ci muszę powiedzieć — dodawał z uśmiechem, skręcając na swój ulubiony

przedmiot — gdybym tak miał ze sześćdziesiąt lat mniej, nie byłabyś dla mnie niebezpieczną, pomimo twoich czarnych oczu i białych zębów. Moja słabość — to były zawsze takie chucherka, jak twoja matka, co to, zdaje się, dmuchnąć a już polecą i komarowi w pojedynku nie dotrzyma. A ty, moje dziecko, jesteś z rodu bohaterki.

Przesadził poczciwy staruszek, bo w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego nie robiłam. Nie myślałam nigdy o sobie, to prawda, ale to tak naturalne, jeżeli się kogoś więcej nad siebie kocha. Zresztą byłam silna i zdrowa, słusznie więc to, co najcięższe i najprzykrzejsze, mnie się dostawało w udziale. Miałam wrodzone wysokie poczucie sprawiedliwości i byłabym się pierwsza oburzała na los, gdyby był zrządził inaczej. To mnie tylko gnębiło i bolało, że okoliczności nie pozwalały mi tyle zrobić z siebie, ilebym była pragnęła; że, mając zdolności i chęć do pracy, musiałam siedzieć nieraz z założonemi rękami i tylko biedzić się i łamać głowę, gdzie się

zwrócić, co przedsięwziąć, aby mój czas i siły na pieniądze zamienić! Ach! pani, byłabym się z ochotą zaprzęgała do najcięższej fizycznej roboty, byleby mi dobrze za to zapłacono i byle matka moja myślała, że czytam książkę, podczas gdybym była szorowała podłogi. Nie znałam żadnych pragnień, żadnych marzeń, właściwych młodym dziewczętom, bo jedynym moim dążeniem, jedynym ideałem było zapewnić wygodną starość matce i stworzyć swobodniejszą, niż moja, młodość nadrastającej siostrze. Dla niej śniłam o małżeństwie, o szczęściu domowym, o ślicznych dzieciach.

W sobie widziałam tylko narzędzie tego wszystkiego, maszynę, która powinna była być w ciągłym ruchu, i rozpacz mnie ogarniała, gdy czułam, że staję. Serce nie uderzyło mi nigdy żywiej na widok młodego mężczyzny; co prawda, spotykałam ich jedynie na ulicy, a gdy który obrócił się za mną, nie przeszło mi nawet przez głowę, że jestem młodą i ładną, i że mogę mu się podobać. Zresztą, byłam zawsze czem innym zajęta. To śpieszyłam na lekcye lub do domu, to szłam za jakimś sprawunkiem i przemyślałam, ile będzie kosztować i jak najtaniej da się załatwić. Ja, z usposobienia rozrzutna i lekceważąca pieniądze, ciągle je miałam w pamięci, liczyłam i obrachowywałam nasze fundusze, jak największy skąpiec. Każdy zarobiony grosz sprawiał mi radość niewymowną, zapisywałam go skrupulatnie w książeczce i sumowałam, co miesiąc, ciesząc się, gdy który choć o złotówkę więcej

mi przyniósł. Tymczasem przy największej mojej zabiegłości trzeba było co roku dokładać z kapitaliku, tak, że pewnego dnia powiedziałam sobie, iż, jeśli tak dalej pójdzie, po upływie jeszcze lat paru zostaniemy literalnie bez grosza, czyli na wypadek mojej choroby zagrożone głodową śmiercią. Położenie było sztrazliwe. Pozostawało z niego jedno tylko wyjście: znaleźć dobre płatne miejsce nauczycielki domowej. Siostra miała już piętnaście lat i mogła mnie zastąpić przy matce, oddawałabym im całą pensję i we dwie byłyby się z niej i z pozostającego jeszcze procentu utrzymywały.

— A tyż, Karolińciu — pytał pan Strzemieńczyc, gdym mu się z moich planów zwierzała — za cóż siebie ubierzesz, jeżeli im wszystko oddasz?

Taż to młodej panience potrzeba często to sukienki, to okrywadełka, to jakiego fiutka do stroju; w żałobie wiecznie chodzić nie będziesz. Lecz ja się tylko na to uśmiechałam. Mnie tak było wszystko jedno, czy mam kolorową czy czarną suknię na sobie, byle tylko była czysta i cała, a miałam istotny talent do noszenia rzeczy, że do ostatka świeżo wyglądały. Nie zastraszała mnie przeto rubyka moich toaletowych wydatków. Byłam o tyle wykstalconą, dzięki gruntownym podstawom i nieustającej pracy nad sobą po nocach, że mogłam śmiało być naukową przewodniczką dorastających panienek i liczyłam, że dostanę się do jakiego bogatego domu na Ukrainę lub Podole, gdzie nauczycielki są zwykle hojnie

wynagradzane. Byłabym pojechała i dalej jeszcze, choćby na Kaukaz, byle mi dobrze zapłacono.

Ale, niestety! taksując sumiennie moje wiadomości i uzdolnienie, zapomniałam o jednym braku, który ich wartość obniżał o połowę: nie byłam muzykalną. Tymczasem po kantorach, do których się zgłaszałam, o to mnie przedewszystkiem pytano. Posiadałam W prawdzie inny talent, i to nawet w dosyć wysokim stopniu, ale ten znacznie mniej jest ceniony. I jakby na urągowisko, cytowano mi wszędzie, że tu lub tam potrzeba właśnie takiej nauczycielki na wymarzonych warunkach z pensją do tysiąca rubli, nawet więcej, ale... "z wysoką muzyką" lub ze śpiewem. — Mój Boże! — myślałam sobie, wracając zniechęcona z moich bezowocnych wędrówek — na cóż też ta muzyka tak gwałtem ludziom potrzebna, że nie pojmują bez niej wykształconej kobiety? Czyżby istotnie tyle talentów fortepianowych było na świecie?

W jednym kantorze nawet, właścicielka, która najwięcej sprawę moję wzięła do serca i przez którą już dawniej miałam jedną lekcję na mieście, zapytała mnie, czy przypadkiem nie gram na wiolonczeli, gdyż W takim razie miałaby dla mnie świetną posadę na pograniczu Azji. Córce milionowego właściciela kopalni srebra przyszła fantazyja uczyć się na tym instrumencie od jakiej młodej osoby, z którejby zarazem mogła mieć towarzyszkę.

Kiedy nasłuchawszy się, w co ta wioloncze

listka będzie opływać za swe smyczkowe ewolucję, wróciłam do domu, gdzie zastałam matkę słabą i rozdrażnioną, a siostrę, cerującą pończochy z nienaturalną powagą na swej twarzyczce podlotka; kiedy pomyślałam, że nadchodzą wakacje, a z nimi kończą się moje lekcje, kiedy na dobitkę oddano mi list od właściciela majątku, na którym umieszczona była nasza suma, list donoszący, że z powodu ciężkich czasów nie może już nam płacić tak wysokiego procentu i uprzedza, abyśby się o inną lokatę od św. Jana starały, Wtedy ogarnęła mnie rozpacz. Czyniłam sobie prawie wyrzuty, że mi nie przyszło na myśl uczyć się na wiolonczeli. Jakżeby mi się teraz przydała ta nauka! Bardziej, niż algebra, fizyka i literatura, nad którymi tyle nocy bezsennych strawiłam!

Lato tego roku, czwartego od śmierci ojca, było wyjątkowo skwarne i niezdrowe.

Spędziłyśmy je, jak zwykle teraz, w Warszawie, dusząc się w podwórzowych wyziewach i naszych ciasnych pokoikach.

Matka cierpiała szalone migreny i leżała po całych dniach na szezlonżku W batystowym peiniuarze, zabytku lepszych czasów, z

plasterkamcylnowej skórki na skroniach. Leżała, nie skarżąc się, ale odgadywałam, że musi myśleć o swych chłodnych werandach Ischl'u lub nadmorskich powiewach, jakie za życia ojca chroniły ją od upałów, i serce mi się krajało, że jej nawet na nędzne letnie mieszkanie wywieźć nie mogę.

Niedosyć na tem. Siostra moja, wątła i osłabiona, jak często dorastające dziewczęta, rozcho

rowata się na tyfus. To było straszne, pani. Pielęgnowałam ją sama w osobnym pokoju, do którego nie pozwoliłam matce wchodzić, kładąc się na progu, ilekroć go przestąpić chciała. Byłam przekonana, że jedno zbliżenie się do łóżka jej, rozgorączkowanej, bredzącej w malignie, obstawionej pijawkami pieszczoszki, zabiłoby tę ludzką mimozę. Przez cały ciąg tej choroby zerwałam z wszelką domową ekonomią. Pieniądze płynęły, jak woda, na doktora, aptekę i inne wydatki. Brałam z kapitału, odesłanego nam pod tę porę, zmieniałam listy zastawne, jak dziesięciorublowe papierki. Kupowałam siostrze lekarstwa, a matce kwiaty, by jej czemkolwiek te okropne chwile osłodzić.

Sama nie kładłam się prawie i nie jadłam, miałam zdrowie żelazne i żyłam jak w odurzeniu.

Pan Strzemińczyc brał serdeczny udział w naszych troskach. Nad wieczorem prowadził matkę do Saskiego ogrodu i pocieszał ją, jak mógł, opowiadając o wszystkich przypadkach tyfusu, jakie w ciągu osiemdziesięciu pięciu lat życia zdarzyło mu się widzieć, a które się skończyły wyzdrowieniem.

I Lucia wyzdrowiała także.

Kiedy pierwszy raz przeszła o własnej sile do drugiego pokoju i położyła się na szezlonżku, a matka uklękła przy niej, rozpromieniona na swój dawny, dziecięcy sposób, i pieściła ją, i całowała, zostawiłam je obie, zupełnie w tej chwili szczęśliwe, i zamknąwszy się sam na sam z pustymi flaszeczkami i niewywietrzałą jeszcze atmo

sferą choroby, z głową ciężką jak ołów, wzięłam się do rachunków. Nie szło mi o to, ile wydałam, lecz ile jeszcze zostało. Drżącą ręką przeliczyłam listy zastawne. Było ich szesnaście, każdy po rubli sto, i przedstawiały razem osiemdziesiąt rubli rocznej renty, jako jedyną podstawę bytu trzech kobiet, przyzwyczajonych do wygod i dostatków. Rozłożyłam listy na stoliku i przeliczyłam poraz drugi bardzo uważnie. Nie; nie omyliłam się; było ich szesnaście, a pięć razy szesnaście to osiemdziesiąt.

Dzień był wrześnieowy, prześliczny. Słońce szło ku zachodowi i odbitem od przeciwległych okien światłem kładło się na leżących przedemną bankowych asygnatach, złocąc te rękojmie złota; powietrze, oczyszczone jesiennym powiewem, wchodziło cicho przez otwarte okno; z poza ściany dolatywały mnie ukochane mi głosy i ten czysty, łagodny śmiech, właściwy rekonwalescentom, co się odzyskanem zdrowiem nacieszyć nie mogą.

Była to chwila, jakby przeznaczona na to, abym sobie usiadła i odpoczęła po tylu tygodniach trudów i sroższej od nich obawy; abym się rozkoszowała jej spokojem, nie myśląc o tem, co przeszło, ani o tem, co będzie; ale nie dla mnie było takie święto.

Zmęczona myśl moja pracowała, jak nigdy może.

Wzięłam jakąś receptę i na odwrotnej jej stronie kreśliłam i sumowałam cyfry. Obliczałam nasz budżet domowy, wypisując każdą pozycję

zosobna, tu strącając, tam dodając, jakgdybym tętni kombinacjami mogła powiększyć dochód i zmniejszyć rozchód. A tymczasem cyfry stały niewzruszone i przerażająco wymowne. Na tysiąc paręset rubli, niezbędnych na zaspokojenie pierwszych naszych potrzeb, miałyśmy zapewnionych tylko osiemdziesiąt!

— Osiemdziesiąt! — powtarzałam machinalnie — osiemdziesiąt, a około pięciuset z moich lekcji, to niecałe sześćset, czyli mniejsza część; a zkad reszta, zkad reszta?

Mówiłam to na głos, powoli, kreśląc zygzaki po papierze i zastanawiając się nad każdym wyrazem.

Zdawało mi się koniecznie, że siedząc tak i dumając, wydumam coś pocieszającego i z tego natężenia myśli robiło mi się w głowie coraz puściej, doznawałam takiego uczucia, jakgdyby kto każdy mój nerw odkręcał, jak strunę.

Wtem otworzyły się drzwi i ukazała się W nich matka, trzymając w pól Lucie, która szła, chwiejna jeszcze nieco i opierająca wychudłą rączkę na jej ramieniu.

Stanęły przedemną W słonecznych blaskach, uśmiechnięte, rozpromienione, jakgdyby nie było na świecie nędzy, co podobne im istoty łamie, zaledwie się ich dotknąwszy, i jakgdybym ja nie wiedziała, że je niechybnie dotknie.

— Pójdź do nas, Karolciu — rzekła matka — widzisz, Lucia sama do ciebie przychodzi.

Wstałam, postąpiłam ku nim parę kroków, przed oczami zatańcowało mi szesnaście listów

zastawnych ze Wszystkimi swemi kuponami, zachwiałam się i padłam zemdlona po raz pierwszy w życiu.

Był to jedyny objaw słabości i nie powtórzył się już więcej. Z odzyskaną przytomnością wróciła mi cała moja energia i stanowczość.

Powiedziałam sobie, że choćby mi przyszło gryźć ziemię, wygrzę z niej chleb dla moich najdroższych, nie dam im umrzeć z głodu.

Zaraz nazajutrz poszłam do owego kantoru, gdzie mnie ową nieszczęśliwą Wiolonczelą poczęstowano.

Nie miałam żadnej prawie nadziei, aby mi się ta bytność na coś przydała, ale chciałam nie mieć nic sobie do wyrzucenia.

— Będę chodzić od jednego biura do drugiego — myślałam, ujmując za dzwonek — ogłoszę się we wszystkich "Kuryerach", będę szukać, dopóki nie znajdę.

Widocznie jednak kantor ten miał szczęście do ekscentrycznych zażądań, bo jego właścicielka, ledwie mnie zobaczywszy, odezwała się żywo:

— Ach! pani, jakie jabym dla pani miała miejsce. Wyobraż pani sobie: tysiąc dwieście rubli pensyi i to z gwarancją na lat kilka, bo dziewczynka jeszcze mała, a babka, przy której się chowa, osoba bardzo dziwaczna! ach, jak dziwaczna, chce, żeby pod jednym i tem samem kierownictwem była od początku do końca.

— Ależ w tem niema nic dziwnego — przerwałam, a serce zaczęło mi bić gwałtownie — to nawet bardzo rozumne życzenie.

— Poczekaj pani. Tysiąc dwieście rubli pensyi, jak powiedziałam, dom urządzony na stopę pańską, na wsi, na Wołyniu, okolica pusta, lecz to mniejsza; ostatni rok za granicą dla dokończenia edukacyi; wakacyi tylko trzy tygodnie, i to pierwszy ciężki warunek.

— Przystaję na niego — zawołałam bez Wahania, jak gdyby sama myśl o rozłące z matką i siostrą nie była męczarnią.

Ale, mój Boże! na cóż jabym się nie była wtedy zgodziła, byle mi tylko niczego nie brakowało.

— Wierzę — odparła trochę ironicznie pani stręczycielka — tembardziej, że praca sama przez się dosyć lekka. Godzin lekcyjnych niewiele; pani baronowa — i tu wymieniła mi nazwisko mojej domniemanej chlebodawczyni — kładzie główny nacisk na umysłowy i moralny rozwój swej wnuczki pod Wpływem ciągłego obcowania z osobą bardzo inteligentną, sumienną i przejętą wyłącznie swemi obowiązkami. Otóż, o ile panią znam, mogłabym ją z czystem sumieniem pani baronowej rekomendować, ale...

— Ale co? — podchwyciłam mimowolnie, składając ręce.

— Ale to się na nic nie przyda, bo — i ruszyła zlekka ramionami — nie jesteś pani mężatką.

— Mężatką? — powtórzyłam z osłupieniem.

— A tak, mężatką. To jest początek dziwactw pani baronowej. Zastrzegła to sobie najwyraźniej: "Nie chcę młodej i niezamężnej — powiedziała mi — ale nie chcę także starej panny.

Młode są niebezpieczne, a stare nieznośne". Cała tajemnica leży w tem, że z panią baronową mieszkają dwaj jej synowie, młodzi chłopcy, których ona ubóstwia i boi się, aby który nie zakochał się w nauczycielce i nie ożenił się z nią. Niktby jej nie wytłómaczył, że to nie jest rzeczą matematycznie pewną. Podobno było parę takich wypadków w jej rodzinie, podobno nawet własny jej zięć po śmierci żony ożenił się z boną swej córeczki, tej właśnie, która się teraz u niej chowa; koniec końców, stara arystokratka tak sobie tem nabiła głowę, że postanowiła przyjąć tylko mężatkę do swego domu.

— Mężatkę! — powtórzyłam znowu jak echo. Ręce mi opadły i siedziałam nieporuszona. Tamta mówiła dalej:

— Pojmuje pani, jaki to trudny, niemożliwy prawie warunek. Któryż mąż zgodziłby się na to, żeby jego żona opuszczała dom, dzieci, obowiązki i szła żyć pod obcym dachem? Chyba taki, któryby się chciał od niej uwolnić! a takiej znów małżeńskiej abnegacyi nie życzy sobie pani baronowa. Oprócz świadectw naukowych, żąda kopii aktu ślubnego, aby, jak się wyraziła, nie paść ofiarą podstępny, a zarazem piśmiennego zaświadczenia ze strony męża, że tylko materialne względy skłaniają go do kilkoletniej rozłąki z żoną, zresztą zaś są W najlepszej zgodzie i rozwodzić się nie myślą. Powiadam pani, kiedy mi to wszystko przekładała, myślałam z początku, że sobie ze mnie żartuje, lub że się jej nagle pomieszało w głowie. Ale wcale nie. Przyjeżdżała

już potem parę razy jaknajprzytomniejsza i zupełnie serio domaga się, abym jej taki egzemplarz znalazła. Może na księżycu udałoby się jakoś, ale tu na ziemi to — niby trudno. W każdym razie prosiłam, aby mi zostawiła miesiąc czasu; cóż mi to szkodzi? — spróbuję.

— A nic innego pani dla mnie nie ma? — zapytałam, wstając.

— Nie, i wątpię czy mieć będę. Gdyby nie ta nieszczęśliwa muzyka...

Wyszłam, nie chcąc już dalej słuchać.

Dnia tego byłam w dziesięciu kantorach, wszędzie napróżno; w niektórych mówić już nawet ze mną nie chciano.

Po ulicach snuły się tłumy, wywabione ostatnimi dniami pięknej pogody, a ja wlokłam się do domu z głową zwieszoną, z rozpaczą w sercu.

Nagle stanęłam.

Nie wiem, czy pani zna to nieopisanie dziwne wrażenie, jakie sprawia myśl taka nowa, że ani pojąć, z kąd mózg ją wytworzył; myśl błyskawiczna, rozświetlająca w jednej chwili ciemności, w jakich błakaliśmy się bez wyścia; myśl, co w nas wszystko pobudzi do życia, do działania, do walki. Zdaje mi się, że W taki, mniej więcej, sposób rodzi się każda idea twórcza w głowie wynalazcy. Ja wprawdzie nie wynalazłam w tej chwili żadnej nowej siły w przyrodzie, ani nie wykradłam jej żadnej nieznaney dotąd tajemnicy, stałam się tylko Kolumbem mojego położenia, znalazłam drogę do mojej wymarzonej Ameryki: zapewnionego matce i siostrze bytu.

Nie wiem jak i którędy znalazłam się na naszym podwórzu. Biegłam raczej, niż szłam, twarz mi płonęła, pulsa biły silnie. Musiano się za mną oglądać, musiałam potrącić niejednego, lecz nie zważałam na to.

Wbiegłam na schody i skierowałam się prosto ku drzwiom pana Strzemińczyca.

Zastukałam bez wahania i po chwili zobaczyłam go przed sobą w fijołkowym flanelowym szlafroku, w czapeczce na wyłysiałej głowie i z długim cybuchem w ręku.

Nie zdziwił się, zobaczywszy mnie, gdyż nie pierwszy to raz zachodziłam do niego; owszem, zdarzało mi się to dosyć często, ilekroć trzeba było przetrwać w sobie jakieś przykre, między ludźmi doznane wrażenie, aby w domu pokazać się już z uśmiechniętą twarzą; a że musiał być zajęty układaniem logogryfu, więc powitał mnie zaraz z progu swoim kłopotem: — Jak to dobrze żeś przysza, Karolińciu — rzekł wesoło — pomożesz mi znaleźć wyraz, coby się zaczynał od R a kończył na C. Męczę się już i męczę...

Pochwyciłam go za rękę.

— Panie Strzemińczycu — zawołałam zadyszana — najdroższy panie! W panu jedyna moja nadzieja. Musisz mi pan wyświadczyć wielką łaskę. Spojrzał na mnie uważniej.

— Co się stało? — zapytał przestraszony trochę. — Mówże, moje dziecko! Wiesz, czego jabym dla was nie uczynił! Wszystko!

— Wiem, wiem, — prawilaam, wciaż ściskajac jego pomarszczone reęce — i dla tego proszę... błagam pana... ożeń się pan ze mną!
Pani! nie zapomnę, nigdy, jak wygladał w owej chwili pan Strzemięczyk. Nigdy w życiu nie widziałam równie przerażonego człowieka. Czapeczka mu się zsunęła na ucho, brwi pojechały W górę, pędząc całą falę zmarszczek po czole, nos zakrzywił się w pałak, otworzy! usta i cofnął się, rozstawiając dłonie, z których cybuch wypadł z łoskotem na podłogę.
— Karolińciu — rzekł tylko zmienionym głosem — Karolińciu.
I umilkł, wpatrując się we mnie. Był pewny, żeam zwaryowała.
Poskoczyłam ku niemu, składając ręce.
— Wysłuchaj mnie pan — zawołałam błagalnie — tu chodzi o naszą przyszłość... Trafia mi się doskonale miejsce nauczycielki: tysiąc dwieście rubli!... o! pomyśl pan... tysiąc dwieście rubli i bez muzyki... na drugie takie liczyć nie mogę... ale potrzeba metryki ślubnej...
I mówiłam dalej bezładnie o uprzedzeniach pani baronowej, o mojej rozpaczycy, o osiemdziesięciu rublach naszego dochodu, o świetnych korzyściach tej posady, o mojem szczęściu, gdybym ją otrzymała.
Mówiłam długo i gorączkowo, każdy wyraz palił mi usta, czułam, że od mojej wymowy zależy wszystko; że, jeżeli go zdołam przekonać i wzruszyć, wygrałam.
Dokonałam przynajmniej tego, iż uwierzył,

żem nie straciła zmysłów i słuchał mnie z większym spokojem.

— To szaleństwo! — rzekł wreszcie. — Zastanów się dziewczyno. Co chcesz uczynić? Zawiązać sobie los... zmarnować młodość!... nie! to już

nie byłaby żadna szlachetna ofiara, ale grzech przeciw samej sobie, Karolińciu, grzech, wołający o pomstę do nieba!

Zadrżałam mimowolnie.

— Zkąd ci ta dzika stanowczość? — mówił dalej. — To nie kobiety rzecz iść naprzebój. Poczekaj trochę, jesteś młoda i ładna, i możesz wyjść zamaż dobrze i po ludzku i po bożemu matce twej i siostrze dopomóż.

Rośmiałam się z goryczą.

— Wyjść dobrze zamaż! — powtórzyłam niecierpliwie — w takich okolicznościach?... To się zdarza W powieściach, ale nie w życiu.

Zresztą... nie sprzedałabym się nigdy w ten sposób... nawet dla nich!... Tu co innego. Pan jesteś moim przyjacielem i pozostaniesz nim; nie będę potrzebowała kłamać uczuć, jakich nie doznaję; pójdę między ludzi pracować, jakbym poszła, będąc wolną, jak chodziłam dotąd... a że mi przybędzie ślubna obrączka na palcu?... i coż ztąd... pierścionek, jak każdy inny.

— Oj, nie jak każdy inny, Karolińciu, nie jak każdy inny — przerwał mi pan Strzemieńczyc surowo prawie — to nie pierścionek, to kajdany; rozerwać ich nie wolno!

— Boże mnie broń od takiej myśli! — za

wołałam z oburzeniem, — cóżby mi z tego przyszło? Ach! dlaczego, dlaczego nie chcesz pan wejść W moje położenie — mówiłam dalej, a łzy, bezsilne łzy miotanej najsprzeczniejszym uczuciem duszy, napępniały mi oczy, — dlaczego pan nie chcesz zrozumieć, że, co może się stosować do panien na wydaniu, nie stosuje się do mnie? Ja jestem tylko jedyną podporą dwóch słabych istot, Więcej niczem. Nie powinnam im dać

zginąć. To moja jedyna ambicyja, jedyne pragnienie i zadanie życia. Nie myślałam nigdy ani o miłości, ani o młżeństwie. To nie dla mnie. O, Boże! jaka ja nieszczęśliwa! Do wszystkiego mam drogę zamkniętą! Nastąpiło długie milczenie.

Pan Strzemięczyc usiadł przy stole, zdjął czapeczkę i obtarł spocone czoło szafirowym fularem, wzdychając ciężko.

Ja stałam i patrzyłam na niego. Było coś tak pocziwego w jego starej, zafrasowanej twarzy, a coś tak rozegzaltowanego w mojej duszy, że ten związek monstrualny, na jaki on się wzdrygał, wydawał mi się w tej chwili prawie pociągającym.

Nie myślałam ani o zmarszczkach, ani o osiemdziesięciu pięciu latach tego męża, o którego się sama oświadczyłam; myślałam tylko, że ten starzec samotny i nic już od życia nieżądający, wziąłby mnie, jak córkę, i obdarzył swoim nazwiskiem, i pozwolił odejść od siebie, jakgdyby nas żadne węzły nie łączyły; że czuwałby tu

nad memi ukochanemi, któreby już miały pewne prawa do jego opieki; że byłby moim i ich dobroczyńcą.

Uklękłam przy nim i pocałowałam go w rękę.

— Nie odmawiaj mi pan — rzekłam drżącym ze wzruszenia głosem. — Widzisz pan, na kolanach cię o to proszę. Gdybyś pan wiedział, com wycierpiała, żebrząc tej pracy, jak jałmużny, od lat czterech, nie mając żadnego stałego gruntu pod nogami, czując, że każdej chwili zapaść się mogę w nędzę i nie sama! Czy mogą być większe męczarnie? Pan mnie nazywasz mężną i silną. Ach! gdybyś mnie widział wczoraj! Byłam jak dziecko. Osiemdziesiąt rubli na rok i moje dziesięć palców! A co będzie,

gdy mi się w tej bezowocnej walce połamią?... Ja już straciłam połowę mojej dawnej energii, tracę ją z dniem każdym, a gdy ją zupełnie stracę, co wtedy będzie? To jedyna deska ratunku; jeżeli się jej nie uchwyczę, zginiemy wszystkie.

Pan Strzemińczyc wysunął rękę, którą do ust przyciskałam, i gładził mnie nią po głowie, jak dziecko, potrzebujące, aby łagodnie i przekonywająco wyperswadowano chorobliwą zachciankę. Odgadłam to z jego twarzy i, nie dając mu przyjść do słowa, mówiłam dalej:

— Pomyśl pan; ja nic nie ryzykuję, — nic nie tracę — mam już blisko dwadzieścia dwa lata — pierwsza moja młodość przeszła — i cóż mi przyniosła? Zkąd pewność, zkąd nawet najłżejsze przypuszczenie, że druga hojniejszą będzie? A ileż to starych panien na świecie?

Pan Strzemińczyc słuchał w milczeniu, przesuwał wciąż dłonią po moich włosach.

— Dziwna z ciebie dziewczyna — odezwał się wreszcie; — bohaterskich czynów zachciewa ci się koniecznie, ale pamiętaj, Karolińciu, że kto nadto sobie ufa, tego Bóg za zuchwałość karze... Nic ci dzisiaj nie odpowiem, moje dziecko; zostaw mnie, niech się namyślę; jutro pójdę do spowiedzi; tobie też może noc przyniesie upamiętanie; rozmówimy się jutro. Odejdź, Karolińciu, Bóg z tobą.

Wstałam posłusznie i przez cały wieczór starałam się być swobodną, a gdy matka i Lucia dziwiły się, dlaczego pan Strzemińczyc dzisiaj nie zajrzał, odpowiadałam im, żartując, że pewnie się nad logogryfami zasiedział.

Przez całą noc modliłam się, nie żeby mnie Pan Bóg oświecił, bo właśnie tę myśl moją, co mi błysła na ulicy, uważałam za Boże natchnienie, ale o to, aby ono i na pana Strzemieńczyca zstąpiło.

Nazajutrz staruszek przyszedł do nas około południa. Był tak mizerny, że mnie aż serce zabolęło; posiedział chwilę, nieswój i zakłopotany, a na wychodnem dal mi znak, abym do niego przyszła.

Wysunęłam się nieznacznie z mocno bijącym sercem. Czułam, że los mój rozstrzygnie się za chwilę.

Kazał mi usiąść, ale był tak wzruszony, że musiał czekać, ażebym głosu z piersi dobyć.

— Czy rozmyślałaś się, Karolińciu? — zapytał uroczyście prawie.

— Nie — odpowiedziałam stanowczo — a pan? Mierzyliśmy się przez chwilę wzrokiem. Nigdy chyba osiemdziesięcio pięcioletni starzec i dwudziesto dwuletnia dziewczyna nie znajdowali się w takiej dziwacznej sytuacji.

— Bóg widzi — ozwał się pan Strzemieńczyk — jak mi ciężko powiedzieć to, co powiem. Niech się stanie według twojej woli. Gdybym miał dziesięć lub piętnaście lat mniej, włóczyłabyś się u nóg moich, a nie ustąpiłbym; ale mam dziewiąty krzyżyk na barkach, i dni moje są już policzone. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Bóg sam wróci ci niezadługo tę wolność, którą tak nieopatrznie chcesz utracić; i z tego jedynie względu — dokończył przejmującym głosem — z tego jedynie względu zgadzam się stanąć z tobą przed ołtarzem. Czy bierzesz na siebie całą odpowiedzialność za ten czyn, na który, jak mi Bóg miły, nazwy nie mam?

— Biorę, o! biorę — zawołałam, okrywając pocałunkami jego rękę. — O! mój drogi, najlepszy panie, jakże ja ci dziękuję.

— Ale, Karolińciu, jeden warunek — przemówił po chwili pan Strzemięczyc. — Twoja matka nic o tem wiedzieć nie będzie. Nie śmiałyby na nią podnieść oczu — i rzeczywiście, gdy to mówił, zwiędłe jego policzki zabarwiły się ceglastym rumieńcem starości. — Jesteś pełnoletnią, ja wszystkie potrzebne formalności załatwię, i poślubisz mnie w sekrecie, moja panienko,

Boże odpuść, jak romansowego kawalera, coby cię wykradł. Uśmiechnął się zlekka, ale wnet sposepniał i zaczął wzdychać. Ja przeciwnie, doznawałam takiego uczucia, jakgdyby mi skrzydła u ramion wyrosły. Osiągnąć cel zamierzony — to chyba największe szczęście na tym świecie. Sam cel — to rzecz w porównaniu podrzędna. Tegoż dnia jeszcze pobiegłam do kantoru. Pani właścicielka wysłuchiwała mnie, otwierając szeroko oczy, podnosząc w górę ramiona. Myślę, że nie wiedziała już sama, komu przyznać palmę pierwszeństwa w nadzwyczajności: pani baronowej, czy mnie.

— Musimy te rzeczy ubarwić jakoś — rzekła w końcu. — Panią baronową zastanowi niewątpliwie tak świeża data ślubu pani. Zapyta o powód rozstania. Cóż jej odpowiedzieć?

— Prawdę — odrzekłam bez wahania. — Powiedz jej pani, że wychodzę zamąż, skoro mi ta kwalifikacja potrzebna, zresztą cóż jej do tego, byle miała pewność, że w żadnym razie nie zostanę jej synową, — dokończyłam, śmiejąc się serdecznie poraz pierwszy od bardzo dawna. Właścicielka kantoru popatrzyła na mnie zdziwiona.

— Pani się śmiejesz?

— Dlaczegożby nie! Za trzy tygodnie będę już mogła wejść w moje obowiązki. Czy mam się przedtem zobaczyć z panią baronową?

— To zbytuczne. Moja rekomendacja jej

wystarczy. Zresztą, niema jej już w Warszawie, wyjechała na wieś. Dziś zaraz napiszę do niej, że znalazłam żadaną perłę. Prawdziwą perłę — dodała, patrząc znowu na mnie, jak na osobliwy okaz — nie wiem, czy jaka druga młoda osoba, W wieku pani, zdobyłaby się na coś podobnego. Wstałam, aby ją pożegnać. Niecierpliwiło mnie, że ludzie chcą gwałtem widzieć coś heroicznego W tem, co mnie wydawało się tak naturalne.

— Ileż lat ma ten pan? — zapytała jeszcze.

— Osiemdziesiąt pięć — odrzekłam, mimowolnie spuszczać oczy.

— Ach! to całe szczęście! Przynajmniej niezadługo umrze.

Zabolał mnie i rozgniewał ten obojętny wyrok, wydany na życie człowieka, dla którego miałam tyle wdzięczności.

— Daleką jestem od takiej rachuby — rzekłam z pewną dumą. — Jeżeli mu tylko dobrze będzie na tym świecie, niech na nim jak najdłużej pozostanie. Sama Boga o to prosić będę.

Moja protektorka ruszyła ramionami.

— Już z jakiej pani gliny jesteś, to nie wiem — rzekła — ale, że nie z tej, z której Bóg zwyczajnych ludzi lepi, to pewna.

Pozostawała mi przecież najtrudniejsza część zadania do spełnienia: uwiadomić matkę, iż będziemy się musiały rozstać.

Znalazłszy stosowną chwilę, uklękłam przy niej i zarzuciłam ręce dokoła jej wiotkiej, dziewczęcej kibici.

— Matuchno — rzekłam — mam ci coś bardzo dobrego powiedzieć, ale nie wiem, jak się wziąć do tego?

— Coś bardzo dobrego, Karolku? — powtórzyła z niedowierzaniem — czy ci się kto oświadczył? Czy wychodzisz za mąż? To jedyna dobra wiadomość, jakąbym od ciebie usłyszeć mogła.

Zaczerwieniłam się gwałtownie.

— Nie, nie wychodzę za mąż — odpowiedziałam pomieszana. — Zkąd taka myśl, mateczko? Któżby się to ze mną ożenił?

— Ja też tylko żartowałam, moje dziecko — rzekła, wzdychając. — Wiem aż nadto dobrze, że zostaniecie starymi pannami, ty i Lucia.

— O, co do Luci... — tu urwałam, gdyż drzwi się otworzyły, i wszedł ze zwykłą przedwieczorną wizytą pan Strzemińczyc.

— Widzi pan — zawołałam z rodzajem dla niego tylko zrozumiałego tryumfu — i mama ma to samo przekonanie, że ja nigdy za mąż nie pójdę, a raczej, że nie mam żadnej szansy.

Pan Strzemińczyc spojrział na mnie prawie surowo. Nie podobała mu się ta moja wesołość.

— Szanse są w ręku Boga — odpowiedział — przesądzać nam o nich niewolno, a tem bardziej...

— Mama się tu dowiaduje ode mnie nowiny — przerwałam prędko — zaczęłam jej właśnie mówić, że... że... dostałam takie doskonale miejsce...

— Miejsce? — powtórzyła moja matka, unosząc się na szezlongu.

— Tak, mateczko... nauczycielki, z pensją tysiąca dwustu rubli. Czyż to nie szczęście? Uzbieram z tego posag dla siebie i dla Luci... Jedno W tem tylko przykre... będę musiała wyjechać i...

Nie dokończyłam i krzyknęłam. — Matka moja zemdląła.

Kiedym ją wraz z nadbiegłą Lucią cucila, ujrzałam utkwiony we mnie wzrok pana Strzemieńczyca z takim wyrazem żalu i politowania, że mi się aż serce ścisnęło. Istotnie, gorzki to był ten pierwszy owoc, jaki mi moja ofiara przyniosła.

Długi czas nie mogłam sobie dać rady z memi ukochanemi biedaczkami. Płakały i rozpaczały, i nie chciały słuchać moich przełożeń. To ich jedyne szczęście, że jesteśmy wszystkie razem, a ja chcę ich tego pozbawić. Czyż to warto poświęcać tyle dla tych nędznych pieniędzy? Obie one miały takie wyobrażenie o życiu praktycznem, jak małe dzieci; zdawało im się, że rubel rozciąga się W rękę, jak elastyka, i że przy dobrej woli można z niczego coś zrobić.

Musiałam wreszcie odsłonić im całą prawdę naszego położenia, którą dotychczas tak starannie kryłam — wtedy ustąpiły. Bolesnym mi był ich smutek, ale pocieszała mnie myśl, że z czasem oswoją się z tą zmianą; że same sobie wystarczą. Czulałam zawsze, iż matka bardziej kocha Lucię,

niż mnie; więcej było wspólnego pomiędzy temi dwiema naturami. Trzy tygodnie przeleciały ptakiem wśród rozlicznych zajęć. Potrzebowałam znaleźć lokacyę na naszą sumkę; najęłam mniejsze, lecz miłsze mieszkanie w tym samym domu, ułatwiłam się z przeprowadzką, kupowałam niektóre zapasy, dzięki stu rublom, jakie mi w kantorze tytułem zadatku Wręczono, obznajmiłam siostrę z tem wszystkiem, w czem mnie, wedle swoich słabych sił, zastąpić miała przy matce — i oto na czem mi zeszyły moje przedślubne chwile. Dzień ślubu! — to podobno magiczny moment w życiu młodych dziewcząt. Jedne myślą o nim z upojeniem, inne z trwogą, inne nawet ze wstrętem; — ja nie myślałam o nim wcale, nie myślałam aż do tego wieczora, którego pan Strzemieńczyk rzekł mi na odchodnym, całując mnie W głowę:

— Jutro u śgo Aleksandra o wpół do ósmej. Uczulam nagle zimno w całym ciele.

— Będę — odpowiedziałam.

Nazajutrz, za ledwie była szósta, gdy pocichu, niezbudziwszy matki i siostry, wysunęłam się z domu. Na ulicach pusto było zupełnie. Chłodny, październikowy dzień wstawał ciężko i posepnie nad uspionem miastem. Kilka wozów przeciągnęło koło mnie, turkocąc głucho po mokrym czarnym bruku; kilka wczesnych sklepów otworzyło się z trzaskiem na milczących chodnikach; tu i owdzie sina, zmęczona twarz stróża wyjrzała z bramy.

Szłam prędko, unosząc ostrożnie nową, ciemną suknię, którą sobie na drogę kupiłam. Dygotałam z zimna i dziwnego wzruszenia, jakie mną od wczoraj owładnęło. Nie było bolesne, ani nawet smutne, tylko takie ćmiące niemile, jak kiedy newralgia odzywać się zaczyna. Doznawałam nieokreślonego wrażenia czekającej mnie operacji i pragnęłam, aby już było po wszystkim.

W kościele było równie pusto, jak na mieście, tylko jeszcze chłodniej i posepniej.

Usiadłam w ławce, czekając na księdza, który mnie miał spowiadać, i z wielką uwagą śledziłam każde poruszenie ziewającego dziadka, jak porządkował na ołtarzach. Napróżno usiłowałam skupić myśli; rozlatywały mi się, jak spłoszone stado ptaków, co, na chwilę w jedno miejsce zbite, pierzchają, aby przysiąść każdy gdzieindziej.

Uprzytomniałam sobie moje grzechy i usiłowałam przejąć się ważnością czekającego mnie aktu, a jednocześnie łamałam głowę nad nazwiskiem księdza, który mnie do pierwszej spowiedzi sposobił, jakgdyby mi co na tem zależało; przypomniiał mi się mój jedyny bal i pogrzeb ojca, i tytuł jakiejś ulubionej w dzieciństwie książki; myślałam także o tem, jak wygląda pani baronowa, i czy moja przyszła uczenica jest pojętną, i gdzie od dziś za rok znajdować się będą?

Kiedy, wypowiedawszy się, wstawałam od konfesyonału, zobaczyłam za sobą tego, który za chwilę miał się nazywać moim mężem. Stał pochylony w długim futrze, na którego ciemnym

kołnierzu opierała się jego śpiczasta broda; pomarszczona, zziębnięta twarz miała wyraz chmurny i poważny, czyniący ją jeszcze starszą; zapadłe, sine usta poruszały się modlitwą.

Dziadek zapalił cztery świece przy głównym ołtarzu, ksiądz wyszedł z mszą, a wkrótce potem uczułam, jak jedwabna szarfa wiąże moją dłoń z drugą, kościstą i suchą; słuchałam słów przysięgi, wypowiedanych, bezdźwięcznym głosem starości, i powtarzałam je sama machinalnie, jakby w nieznanym mi języku. Wydawało mi się, że stałam dotychczas przed jakąś wielką, zamkniętą bramą, do której w tej chwili przykładano nowe, nieprzełamane rygle. Skoro i tak otworzyć się nie miała, cóż to szkodzi, że ją silniej obwarowano? A jednak coś, jakby złowrogie przecucie, padło mi na piersi, i ta ślubna obrączka, którą mi pan Strzemięczyc na palec włożył, zaważyła mi przez chwilę, niby stufuntowy ciężar. Lecz trwało to bardzo krótko.

Kiedy ksiądz, który zapewne nigdy podobnej pary nie łączył, wezwał obecnych na świadectwo, obejrzałam się poza siebie. Wszystkie baby z kruchty, godne druchny takiego wesela, stały pod drzwiami, szepcząc pomiędzy sobą; młoda służąca z koszykiem klęczała z boku i wytrzeszczała na mnie oczy z jakąś naiwną zgrozą.

Dwóch dziadków kościelnych przypatrywało się nam, mrugając na siebie z głupią złośliwością.

— To ci bogacz być musi! — mruknął jeden, kiedy koło niego przechodziłam.

Doleciało mnie parę jeszcze zdziwionych: "O! Jezu! O! jak się też staremu chciało! O! biedna panienska", poczem wyszliśmy z kościoła.

Deszcz padał drobny i gęsty, obnażone drzewa kołysały się smutno nad rozmiękną ziemią placu.

Zstępując z oślizgłych schodów, pan Strzemińczyc potknął się i zachwiał; podtrzymałam go prędko; a w tejże chwili zachychotano za nami grubo i szydersko. Staruszek zrozumiał ten śmiech brutalny, i rumieniec, jakby upokorzenia, wystąpił mu na twarz. I ja się także zaczerwieniłam. Byłabym chciała przeprosić go za ten policzek śmieszności. Wszak otrzymał go z mojej winy.

Wróciliśmy dorożką do domu, niemówiąc nic przez drogę. Ja obracałam pod rękawiczką moją ślubną obrączkę; — poprzednie wrażenia rozpraszały się powoli tak dalece, że myśl, iż jestem mężatką, zaczęła mnie prawie bawić.

Pan Strzemińczyc zaprowadził mnie do swego mieszkania, które miałam teraz prawo uważać za moje.

— Moja Karolińciu — rzekł — zrobiłem, co chciałaś: teraz pozostaje mi tylko prosić Boga, abyś, dopóki oczu nie zamknę, nie pożałowała tego. Bądź ostrożną, bo wchodzisz na niebezpieczną drogę, trzymaj serce i myśli na wodzy; nie należą one do mnie, ale też i do nikogo należeć już nie mogą. Niechże cię Najświętsza Panna błogosławi, i Pańscy Aniołowie strzegą.

Zrobił krzyżyk na mojem czole i odwrócił się prędko, szukając czegoś w biurku, ale widziałam dobrze, jak oczy rękawem ocierał.

— A na pamiątkę dzisiejszego dnia weź to, moje dziecko, odemnie — rzekł jeszcze i podał mi płaskie safianowe pudełeczko.

Otworzyłam je. Na pożółkłym białym atlasie leżała oprawna w złoto miniatura mojej matki z panieńskich czasów.

— Kiedym ją kazał robić — mówił dalej — kochałem to śliczne dziewczyniátko, jak głupiec jaki. Wszystkiego się mogłem spodziewać, tylko nie tego, że ją w ślubnym prezencie jej córce, a mojej żonie, ofiaruję.

Tu Karolina przerwała sobie opowiadanie.

— Pokażę ją pani — rzekła, wstając — zobaczysz, jaka to była cudna istota!

I dobyła z komody ową miniaturę, zachowaną, jak relikwie, ale ja wzięłam ją do ręki z pewnem uprzedzeniem. Mam wrodzoną niechęć do takich istot uprzywilejowanych, a biernych, które trafiają zawsze na charaktery szczytne, na serca niepospolite, i stają się przedmiotem niezasłużonych uwielbień, i idą przez życie własne poświęceniami, jakich się nawet nie domyślają, niszcząc bezwiednie i marnując to, co o wiele więcej od nich warte.

Takie w duchu czyniąc uwagi, przypatrywałam się aniołkowatej twarzy matki Karoliny, tym dużym, szafirowym bez głębszego wyrazu oczom, temu ślicznemu czołku, które zdawało się tak wypukłe i tak gładkie, że myśli ześlizgiwać się z nie

go musiały, i tym usteczkom rozkosznym, uśmiechającym się ze słodką filuternością dobrego, pieszczzonego dziecka. Mimowolnie, porównywając ten buziaczek Greuze'a z rysami Judyty, stojącej przy mnie kobiety, zdawało mi się, że widzę pyszny i silny kwiat aloesu, który zwiędł, pozbawiony słońca i rosy dla wątłej polnej różyczki.

Milczałyśmy czas jakiś, obie pogrążone w sprzecznych zapewne myślach.

— Czy mam mówić dalej? — odezwała się pierwsza Karolina, a wyczytawszy odpowiedź w moich oczach, tak ciągnęła swoje opowiadanie:

— Uwolnię panią od opisu ostatnich chwil mego pobytu w domu i pożegnania z ukochanymi, a wprowadzę cię odrazu pod dach pałacu pani baronowej, do którego w tydzień po moim ślubie przybyłam. Podróż była daleka i męcząca. Od stacyi kolei, na którą odwiózł mnie poczciwy pan Strzemińczyc, jechało się jeszcze osiem mil końmi po najokropniejszej, jesiennymi szarugami popsutej drodze. Pani baronowa, kobieta zdumiewającej chudości, o twarzy długiej i charakterystycznej, przyjęła mnie w fotelu, z którego Paroksyzm artrytyzmu nie pozwalał jej się podnieść. Włosy miała jeszcze czarne pod koronkowym czepkiem, a z lewej strony ust wyraźny wąsik. Gładziła go niekiedy jednym palcem, co przy tej nadzwyczajnej chudości, męskiej postawie i ruchliwych nozdrzach czyniło ją tak oryginalną, że mimowoli przypomniał mi się ilustrowany Don Kiszot.

Po zamianie kilku słów, przedstawiła mi swoją wnuczkę, dziewięcioletnią dziewczynkę, wybujałą i pochyło się trzymającą na cienkich, długich nóżkach. Cera jej była chorobliwie blada, ironiczny uśmiezek błąkał się na jej dziecinnych usteczkach, w ciemnych oczach świeciła jakaś przedwczesna inteligencja. Ukłoniła mi się z wielką powagą, mierząc mnie jeszcze bardziej krytycznym, niż babka, wzrokiem.

— Muszę panią uprzedzić — odezwała się pani baronowa, — że Niusia jest pod każdym względem nad wiek rozwinięta. Takemu drzewku

potrzeba poobcinać niektóre gałązki, aby prawidłowo rosło (Pani baronowa lubiła mówić metaforami). Zanim pani otworzy z nią gramatyki i atlasy, pragnęłabym, aby pani wejrzała w tę młodą duszę. Nie jestem zadowolona z usposobienia mojej wnuczki.

Nusia przyjęła to oświadczenie ze stoicyzmem, założywszy ręce po napoleońsku.

— Z tych powodów, nie oddałabym jej nigdy na pensję. Nusia potrzebuje bezustannego dozoru, kierunku, wpływu. Poręczono mi za sumienność pani w przejęciu się zadaniem, jakie jej powierzam. Proszę, zwłaszcza, niech pani jej nie pozwala, aby się zamyślała. Dziwne rzeczy roją się czasem po tej głowie. I tell, you. Wszak pani mówi po angielsku? Very well. Wolę ten język w potocznej rozmowie, niż francuzki. Ale, wracając. Nie chcę z niej żadnej Korynny. Dużo rozsądku i dużo dystynkcyi; w program nauk się nie wtrącam — to rzecz pani. Niech umie, ca

umieć powinna kobieta jej stanowiska; ani więcej, ani mniej, — that is all! Słuchałam w milczeniu, przypatrując się mojej przyszłej uczennicy, która stała tak obojętnie, jakgdyby to nie o niej była mowa.

Wtem drzwi otworzyły się, i do pokoju wszedł wysoki, dwudziestoparoletni młodzieniec, istny Albinos, z różowawopłową fryzurą i białymi rzęsami.

— Mój młodszy syn, Patrycy, — pani Strzemięczycowa — rzekła babka Nusi, kładąc nacisk na mężatkowskie zakończenie mego nazwiska.

Młodzieniec ten był bardzo rozmownego usposobienia. Zapytał mnie natychmiast, czy przybywam z miasta, oświadczył, że w takim razie wieś

powinna mi się podobać, bo niema nic na świecie nad rozmaitość, choć matka jego inaczej twierdzi; jakby na poparcie swego wyznania wiary uwiadomił baronową, że zamienia Siwka; zwrócił uwagę Niusi, że się garbi, zakręcił się po pokoju i wyszedł.

Starszy, Jerzy, którego dopiero nazajutrz poznałam, stanowił z nim rażącą sprzeczność. Nizki, krępy nieco, ułomny, miał takie same ciemne, nieprzyjemnie inteligentne oczy, jak Nusia, i taki sam drwiący uśmieszek na mocno czerwonych ustach, które się rzadko otwierały. Mówił najczęściej po angielsku, i to prawie wyłącznie z matką, dla której był z wielkiem, lecz chłodnem poszanowaniem. Siostrzenicy swojej nie mógł cierpieć; nazywał ją a little devil, co niby po polsku wychodziło na dyabliska i jeżeli się zwraca

cał do mnie, to aby mi wyrazić swoje ubolewanie, że mam z nią do czynienia. Brata traktował lekceważąco, uważając siebie za wielką umysłową wyższość. Już to, kiedy się razem zeszli: baronowa, gładząca wąsik długim, kościstym palcem, bladoryzy Patrycy, ze swą dżokejską fizyonomią i ruchami narwańca, sardoniczny Jerzy, za którym, jak nieodstępny cień, chodził zawsze ponury, wielki dog, a pomiędzy nimi Nusia, kręcąca się na swych cienkich, długich nóżkach i dziecinnym głosikiem odzywająca się, jak dojrzała osoba, stanowili tak oryginalną grupę, że tylko ołówek Gavarni'ego mógłby ją był otworzyć.

Ja, patrząc na nich, uśmiechałam się nieraz w duchu z przewidujących obaw pani baronowej, które ze mnie zrobiły mężatkę bez męża. Obaj jej synowie zdawali się zdolni do wszystkiego, tylko nie do romantycznego rozkochania się w ubogiej nauczycielce i zaślubienia jej wbrew

macierzyńskiej woli. Patrycy zwłaszcza, był nawet wyraźnym przeciwnikiem małżeństwa. Dowodził głośno, że sama myśl, iż musiałby przez całe życie chodzić z tą samą kobietą pod rękę, obrzydziłaby mu nawet Wenus medycejską, a gdy matki nie było, rozwijał swoje budujące teorie różnorodności w życiu Wobec Niusi, która łykała każde jego słowo. — Nieprawdaż Niusiu — mówił naprzykład — że lepiej mieć sto kochanek, niż jedną żonę? — Bezwątpienia — odpowiadała z powagą dziewczynka. Interwencja moja nic tu nie pomagała.

Patrycy, jakby drażniąc się ze mną, coraz niemożliwsze harce wyprawiał na tym koniku; a ja wówczas brałam zachwyconą niemi Niusię za rękę i wyprowadzałam ją z pokoju, słuchając przez drogę jej rozgoryczonych uwag nad moją nietolerancją i pruderyą. Doprawdy, że nic nie przesadzam. Dziewięcioletni ten dzieciak posługiwał się takimi wyrażeniami przy każdej sposobności. Zadanie moje było istotnie ciężkie i trudne. Byłabym wolała — mówiąc stylem pani baronowej — hodować w pocie czoła najtrudniej kiełkujące ziarenka, niż obcinać te gałązki, które zdawały się rozwijać z anormalną szybkością po to, aby wydać jakieś zatrute owoce. Coś wolterowskiego było w tej dziewczynce, niewiedzącej jeszcze, że człowiek tego nazwiska istniał na świecie. Mnie poprostu przerażała nieraz jej destrukcyjna intuicja w odnajdywaniu słabej i ujemnej strony każdej rzeczy, a pytania, jakie mi zadawała, bywały tego rodzaju, że musiałam wszelkimi sposobami rugować je z jej pamięci. Babka nie kochała jej, ale pragnęła być z niej kiedyś dumną, a zaufawszy mi, że ten surowy materyał, wedle

nakreślonego mi modelu, obrobie, nie troszczyła się, jaką drogą do tego dojdę. Tymczasem wszystkie jej myśli i ambicję ześrodkowywały się w synach, którzy byli dla niej szczytem możliwych doskonałości. Wierzyła mocno, iż Patrycy ma prześliczny, popielaty kolor włosów, a patrząc na krzywą łopatkę Jerzego, zachwycała się jego atletyczną budową. Nie można sobie wyobrazić bardziej zaślepionej matki.

Mnie to przecież nic nie szkodziło. Miałam wraz z Niusią dwa oddzielne pokoje w pałacowym skrzydle, i tam najczęściej przebywałyśmy obie. Wiezorami pisywałam listy do domu, oczekując potem z utęsknieniem dnia, w którym mi poczta przyniesie odpowiedź.

Nie dręczyła mnie już ustawiczna troska

o jutro; przestałam taksować każdy kawałek chleba, jaki do ust niosłam, a myśl, że moje ukochane żyją tam wygodnie i wspominają mnie, czyniła mnie prawie szczęśliwą w mojej samodzielności. Myślałam też czasem o panu Strzemińczycu, jak też wywiązuje się z roli utajonego zięcia i szwagra, i patrzyłam w przyszłość swobodnie. Tak minęła zima i wiosna. W maju przypadły mi moje trzy tygodnie wakacji. Pojmie pani, czym one dla mnie były. Niestety! nie miały się już więcej powtórzyć...

Za powrotem zastałam nową osobistość w pałacu. Był nią daleki krewny młodych baronów, a zarazem szkolny towarzysz i przyjaciel Jerzego, którego zaproszono na letnie miesiące dla odpoczynku, po mozolnej biurowej pracy w mieście.

Zobaczyłam go po raz pierwszy przez okno, jak chodził zwolna po ogrodzie, nad którym unosiła się głęboka cisza zapadającego wieczoru i przejmująca woń sianozęci. Był bez kapelusza, i ta piękna, zamyślona

głowa, ujrzana z góry na tle czerwcowej zieleni, wśród przekwitających jaśminów, zastanowiła mnie. Powiodłam za nim oczyma i zdziwiłam się, że ktoś zupełnie nieznajomy, mógł mi się wydać tak interesującym.

Dopatrzyłam się też dużo znużenia w jego ruchach i dużo smutku w jego twarzy, może dlatego, iż wspomiano mi już o tym kuzynku, jako o biednym chłopcu, sierocie, którego los zawsze gnębił. Nie uszło to uwagi stojącej przy mnie Niusi.

— Pani patrzy za kuzynkiem Wiktorem — rzekła. — Kuzynek Wiktor bardzo ciekawy jest poznać panią. Babcia opowiadała mu coś o pani, ale nie wiem co, bo mi kazała wyjść z pokoju.

Zaczerwieniłam się gniewnie. Łatwo mi było zgadnąć, że pani baronowa nie miała nic lepszego do roboty, jak ubawić swego bratanka historią mego zamążpójścia, którą w przybliżeniu знаła.

— Wujcio Jerzy bardzo chwalił panią przed kuzynkiem Wiktorem — opowiadała dalej Nusia. — Słyszałam, jak mówił, że pani jest dzielna kobieta. Co pani takiego dzielnego zrobiła? Pytałam go, ale mi odpowiedział, że kto ze mną wytrzymać potrafi, to już dosyć. Już to ten wujcio Jerzy...

Urwała wymownie, a po chwili podjęła:

— Kuzynek Wiktor pytał mnie jeszcze wczoraj, czy panią kocham?

— I cóżeś mu odpowiedziała? — zagadnęłam uśmiechając się mimowoli i gładząc jej twarzyczkę Asmodeuszka.

Spójrzała na mnie z pod oka.

— Że zaczynam! — odrzekła krótko i, jakby Wstydząc się tego wyznania, uciekła.

Odtąd nasze śmiertelnie zwykle nudne posiedzenia przy stole ożywiły się znacznie. Pan Wiktor w towarzystwie inaczej wygląda!, niż na samotnej po ogrodzie przechadzce. Jeżeli miał jakie smutki, jeżeli był przygnębionym i rozczarowanym do życia, jak z tego, co mi o nim z kolei opowiedziała baronowa, wnosić mogłam, to, wchodząc między ludzi, chował to wszystko do kieszeni, a dobywał z niej dowcip i nieoszacowany dar rozmowy lekkiej, a przecież niepustej. Satyryczna inteligencja zdawała się być dziedziczną w tej rodzinie; on posiadał ją w najwyższym stopniu, ale obok tego talentu do persiflażu, miał W usposobieniu jakąś miękkość, jakąś chwytającą za serce pobłażliwość, której brakowało Jerzemu i Niusi. Umiał chwilami cieszyć się, jak dzieciak, wsią, pogodą, rozkwitłą na krzaku różą. Towarzyszył często mnie i mojej uczenicy do lasu i zbierał z nami poziomki, z Patrycym łowił ryby na wędkę i jeździł konno, dysputował z Jerzym w bibliotece, a z baronową grywał w szachy. Był w tem tak niezmordowany, że wyglądało to aż na postanowienie z góry wywzajemniania się za gościnność w tym domu, w którym nie umiano wykrzesać z życia żadnej szczerzej, jasnej iskry. O sobie samym nie mówił nigdy, chyba pośrednio, drwiąc z tych biednych waryatów, co z zielonym rękawkiem na prawej ręce przy urzędniczym biurku, wdzięczą się przez całe życie i robią słodkie oczy do społecznej działalności, a ta ich omija wytrwale i łasi się opasłym ban

kierom lub znudzonym pankom, którzy odpowiadają jej, ziewając: "Moja kochana! daj nam pokój! mamy i bez ciebie dosyć do myślenia — o sobie".

Był moim sąsiadem przy stole, i nieraz, gdy inni mówili, zamienialiśmy ze sobą kilka zdań, zazwyczaj nic wspólnego z ogólną rozmową niemających. Zato w lesie bywało, szliśmy obok siebie przez długą chwilę w milczeniu; Nusia biegła przed nami, drzewa tworzyły dokoła nas pełną dzikich zapachów i szmerów zacisłość, on odchyłał ręką gałązki po drodze, lub podawał mi jaki leśny kwiatek, a ja dziękowałam mu uśmiechem i skinieniem głowy.

Jakiś nieznany dotąd powab wkradał się w moje życie, a wkradał się tak nieznacznie i tak był niepodobny do tego, po czym moja książkowa znajomość miłości byłaby mi pozwoliła odgadnąć niebezpieczeństwo, że jeszcze myśl mi nawet nie przeszła, aby się nim zaniepokoić. Lubiłam patrzeć na tego człowieka, bo był piękny; lubiłam słuchać jego głosu, bo czarował, jak muzyka; lubiłam zwłaszcza z nim rozmawiać, bo mnie pociągała subtelność i wyższość jego umysłu — cóż nad to naturalniejszego? A i jego postępowanie ze mną było takie, że nie mogło obudzić podejrzeń. Nie mieszał się, nie rumienił, nie wzdychał, a patrzył na mnie zupełnie takimi samymi oczyma, jak na baronową. Może spojrzenie to zmieniało się, gdym tego nie widziała; może powinno mnie to było uderzyć, że ze mną stawał się coraz mniej ironicznym, mniej nawet dowcipnym,

niż z innymi, ale, jeśli jako osiemnastoletnia dziewczyna nie myślałam nigdy o tem, że ktoś mógłby mnie pokochać, to cóż dopiero teraz, kiedy młodość mojej wyobraźni zawiędła w codziennych z losem utarczkach, i kiedy na palcu nosiłam ślubną obrączkę?

Byłam więc zupełnie spokojna, a przytem tak zadowolona, jak nigdy. I z moją uczenicą szło mi coraz łatwiej. Dziewczynka przywiązywała się do mnie, i dokuczliwy jej charakter łagodniał stopniowo.

Późnym wieczorem, gdy wszyscy już w pałacu spali, siadywałam teraz przy otwartem oknie, i najdrobniejsze wypadki ubiegłego dnia, w których Wiktor brał jaki udział, zaczynały mi chodzić po głowie. Przypominałam sobie jego słowa, jego ruchy; dumalam nad jego dolą samotną, twardą dolą jałowej pracy; ubolewałam, że takie zdolności w ten sposób się marnują; zdejmował mnie prawie żal do losu, że dał pieniądze młodym baronom, a nie jemu.

A potem, jakby z sennego znużenia, myśli moje zaczęły się plątać, rozpląwać, niepochwytane jakieś tęsknoty ogarniały mnie miękko, niebolące łzy napępiały mi oczy, spływając tak cicho, że ich prawie nie czułam; opierałam głowę na rękę i wpatrywałam się w niebo z takim wrażeniem, jakgdyby mnie coś lekko kołysało.

— Czy to się nazywa marzyć? — mówiłam sobie czasem, budząc się z tej zadumy. — A jeśli tak, o czem ja marzę?

Kładam się spać, nieznajdując na to py

tanie odpowiedzi, a nazajutrz powtarzało się to samo.

Jednej takiej księżycowej nocy zobaczyłam posuwający się zwolna, między drzewami ciemne) alei, czerwony punkcik zapalonego cygara. Odgadłam zaraz, w czyich ono tkwi ustach, gdyż ani Patrycy, ani Jerzy nie byli zwolennikami samotnych po nocy przechadzek. Śledziłam każde poruszenie tej ponsowej gwiazdki z nateżoną uwagą, a serce biło mi żywiej pod białym kaftanikiem. Zatrzymywała się często, Wreszcie zgasła, tuż prawie pod mojem oknem.

Wówczas usłyszałam dźwięczny męzki głos, nucący między drzewami:

Ej, księżycu! niechże ciebie
Z twoim smutkiem, — znam go, znam,
Tyś jest zawsze sam na niebie,
Ja na ziemi zawsze sam!

Słowa były mi znane, ale melodyai smutna i dziwaczna, wyglądała, jakby ją sobie sam śpiewak naprędce ułożył.

Głos oddalał się, powtarzając ostatnią zwrotkę kilkakrotnie, z coraz to inną modulacją; wreszcie ucichł.

Zamknęłam okno.

Ta piosnka, skarżąca się ciszy nocnej, Wstrząsnęła mną do głębi. Cała melancholia jakby przeszła We mnie. Nie mogłam zasnąć.

— Biedny — mówiłam sobie — biedny! Jakto ciężka być zawsze samemu na świecie!

Dlaczego zawsze! — dodałam po chwili. — Po

kocha, ożeni się, będzie szczęśliwy. Niepotrzebnie martwię się za niego. A tymczasem serce ścisnęło mi się niepojętym żalem. Nazajutrz po południu Nusia wyjątkowo była roztargniona przy lekcji. Spoglądała na mnie ukradkiem, uśmiechała się, przybierała tajemnicze miny, usiłując koniecznie zwrócić na to moją uwagę. Zniecierpliwiona, że ją tylko strofuję, a o przyczynę tego podniecenia nie pytam, podparła się obu łokciami na książce i rzekła nagle:
— Wie pani, co ja pani powiem? Kuzynek Wiktor to się w pani kocha. Uczułam, że mi wszystka krew uderza do twarzy.
— Niusiu! — rzekłam surowo.
— Ale tak! A gdzie ta róża, co ją pani rano miała we włosach? Mimowolnie podniosłam rękę do głowy. Róży nie było.
— Niema! niema! — zawołała Nusia. — Pani ją zgubiła, a kuzynek Wiktor ją znalazł w sali jadalnej pod pani krzesłem. Widziałam, jak ją podnosił, a potem pocałował — ot tak! i schował — ot tu! Opowiadaniu temu towarzyszyła wymowna gestykulacja.
— A co? czy pani teraz wierzy?
— Wierzę — odpowiedziałam spokojnie, bo nie mogąc zapanować nad moim rumieńcem, potrafiłam przynajmniej zapanować nad moim gło

sem — wierzę, że gdy dzieci wtrącają się w nieswoje rzeczy, muszą zawsze coś bardzo niedorzecznego powiedzieć. Zrób mi tę przyjemność i zajmij się lekcją.

Niusia zdziwiła się.

— Jaka też pani! Ja myślałam, że się pani ucieszy. Kuzynek Wiktor taki ładny! Ale prawda! pani ma męża!

— Niusiu! — powtórzyłam z większą surowością, i dziewczynka, przygryzłszy swe wążkie usteczka, zamilkła.

Ale paplanina jej zrobiła swoją. — Dziesięcioletnie dziecko otworzyło oczy dwudziestoparoletniej kobiecie. — Od tej chwili straciłam spokój i swobodę w obejściu z Wiktorem; natomiast zaczęłam go potajemnie podpatrywać i śledzić. Pchało mnie ku temu uczucie jakby obawy, połączonej z jakąś niezdrową ciekawością. Był to pierwszy mężczyzna, o którym usłyszałam, że mnie kocha. Wydawało mi się to czemś tak nieprawdopodobnym i monstrualnym zarazem! Wszak wiedział, że jestem mężatką... zresztą człowiek, tak szyderski i sceptyczny, czy pozwoliłby swemu sercu obłąkać się w ten sposób? — A jednak — dlaczego pocałował moją różę? Dlaczego ją schował? I znowu za chwilę mówiłam sobie, że jestem śmieszna i dziecinna, przywiązując jakąś wagę do słów Niusi; że zapewne przywidziało jej się, i że najlepiej o tem nie myśleć. Mimo to, myślałam, i, czego dawniej nie bywało, widok mojej ślubnej obrączki stawał mi się. chwilami przykry.

Pewnego dnia, a było to już w parę tygodni do dokonania przez Niusię odkrycia, siedząc sama w altanie, zdjęłam machinalnie obrączkę i

położyłam na ławce. Pozostał mi po niej jaśniejszy pasek ciała na palcu, i przypatrywałam mu się jeszcze, gdy wszedł Wiktor.

Usiadł nieopodal i zapytał, co czytam, bo miałam książkę na kolanach.

Wymieniłam tytuł dzieła, i przez chwilę rozmawialiśmy o niem.

Wtem oczy padły jego na leżący obok mnie pierścionek.

— Czy można? — zapytał, sięgając po niego.

Skinęłam głową w milczeniu.

Wziął obrączkę i bawił się nią, prowadząc dalej rozmowę.

— Kiedym był dzieckiem — odezwał się nagle — zdarzyło mi się być na ślubie i wyobraziłem sobie wtedy, że ślubna obrączka ma ten przywilej, iż wrasta w ciało. Dziecinną tę wiarę zachowałem czas jakiś. Później dopiero przekonałem się, iż równie łatwo ją zdjąć, jak każdy inny pierścionek.

Nie odpowiedziałam nic. On popatrzył na mnie, a potem spojrział na wyrytą wewnątrz datę.

— Więc to jeszcze niema roku — wymówił półgłosem. — Przez tyle lat mieszkałem z panią w jednym mieście, może na jednej ulicy, może spotykaliśmy się nieraz. Ale potrzeba było, abym panią poznał dziś dopiero. Los, doprawdy, bywa często nadto ironicznym.

Były to śmiałe słowa, i zadrżałam, usłyszawszy je, — z oburzenia, — jak mi się zdawało.

— Ja tego nie widzę — rzekłam sztywnie.

— Nie widzi pani tego? — powtórzył jakby z rodzajem smutku. — Tem lepiej dla pani.

Podał mi obrączkę, a gdy ją brałam, ręce nasze się spotkały. Uczułam nagle wstrząśnienie, dreszcz, który zdawał się przebiegać od niego do mnie i spajać nas tem najsilniejszym z ogniw: wspólnością wrażenia. Było to dla mnie coś przerażająco nowego.

Zanim zdołałam się upamiętać, on ujął moją rękę w obie dłonie ruchem, którego powolność miała jakąś upajającą władzę.

— Pani! — wyszeptał — Karolino!

Nagle zbladł bardzo. Zerwał się z miejsca, wcisnął mi gwałtownie na palec obrączkę, którą trzymał jeszcze, i popatrzył na mnie z pod ściągniętych, jakby wewnętrzną Walką, brwi i wybiegł z altany.

Zostałam sama. Książka usunęła mi się była z kolan; podniosłam ją, przeczytałam tytuł i upuściłam ją znowu. Przeciągnęłam ręką po czole i zdziwiłam się, uczuwszy na niem chłodną wilgoć. Co się stało?... Kto tu był przed chwilą? Czyjego, głosu echo powtarzało mi uparcie: "Karolino! Karolino!"

I ogarnął mnie straszny niepokój. Wstałam i zaczęłam iść prędko, coraz prędej. Miałam niejasną świadomość konieczności ucieczki, i nietylko z jednej altany, ale i z tego domu, skrycia się przed czymś, zapomnienia o czymś.

— Jutro już mnie tu nie będzie — powtarzałam gorączkowo.

Nagle stanęłam. A one? A moja matka? A siostra? Dla kogóż, jeśli nie dla nich, zaprzedałam się W tę niewolę (pierwszy to raz określiłam tym wyrazem moje małżeństwo), a teraz, jak nędzny tchórz, za ledwie uczuwszy brzemień jarzma, miałabym się z pod niego wyłamać. Nigdy!

Podniosłam głowę. Ruch i wolne powietrze wytrzeźwiły mnie. Wola, którą pierwszy podmuch namiętności wypędził, wracała nieraz, jak obrażona królowa, stawiając nogę na karku buntownicy.

— Zostanę — rzekłam głośno. — Zostanę, ale, jak Bóg na niebie, nie powtórzy się to już Więcej!

Przysięga była niepotrzebna. Nazajutrz dowiedziałam się, że Wiktor wyjechał w nocy, wezwany nagłym interesem no Warszawy.

Powinnam była odetchnąć i podziękować Bogu, że pokusę, którą już teraz rozumiałam jasno, sam mi z drogi usuwa. Lecz nie, — doznałam, owszem, uczucia wielkiego rozczarowania, jak zapaśnik, co się z trudem uzbroił do walki, a któremu przeciwnik umknął z pola. A przytem było mi smutno.

Przez kilka dni chodziłam rozdrażniona, miejsca sobie znaleźć nie mogąc.

Wszystko, na co spojrzałam, przypominało mi tę piękną, młodzieńczą postać, która zapewne na zawsze już znikła mi z oczu.

Chodząc po lesie, myślałam, co byłoby, gdybyśmy oboje byli wolni? Czy ten głos, który mnie nazwał po imieniu z taką tkliwością, do

powiedziałby wtedy: "Bądź moja"! A ja Cóżbym mu na to odrzekła? I przyciskałam rękę do serca, jakby lękając się jego zbyt wymownej odpowiedzi.

Złożyć swą rękę w takiej samotnej dłoni, ciepłem swoim ją ogrzać, czuć, że się jest dla kogoś wszystkim, pracować z nim razem — czyż to nie całe szczęście kobiety na tym świecie? Zaczynałam rozumieć Boską potęgę miłości, która w dwie ludzkie, obce sobie długo piersi, składa zaklętą moc wzajemnego opromieniania sobie życia...

Dlaczego nie spotkaliśmy się wcześniej?

Ale na to marzycielskie pytanie przychodziła odpowiedź rozwagi. I cóż wtedy? Alboż nie byłam równie dobrze związana, jakgdybym miała dziesięć obrączek na palcu? Alboż mnie wolno było myśleć o sobie, o swoim własnym ognisku, mając inne, dawniejsze, które beze mnie zgasnąćby musiało. On był ubogi, nie mogłabym mu narzucić ciężaru utrzymania mojej rodziny. Więc musielibyśmy się rezejść, a kto wie, jakieby wtedy było to rozstanie. Łatwiej pożegnać się zdaleka, gdy się stoi na dwóch brzegach przepaści od początku istniejącej, niż spotkawszy się na jednej ścieżce, śnić chwilę, że się pójdzie razem, a potem wymijać się, odwracając smutnie głowy i trzymając ręce przy sobie, aby się w uścisku nie zaplotły. Żem mogła rozumować w ten sposób, to dowodziło, iż nie kochałam jeszcze Wiktora. Było

to raczej przecucie miłości, które musnęło zlekka śpiące moje serce. Nie upłynął miesiąc, a wszystko już wróciło we mnie do równowagi. Niusia wspominała czasem kuzynka Wiktora; wtedy baronowa, gładząc Wąsik, mówiła: "Poor boy! Poor boy! gdybyż chociaż ożenił się bogato"; na co Patrycy ruszał ramionami, Jerzy zaś przytakiwał poważnym: "just so" — i na tem się kończyło.

Nadeszła jesień. Wielkie wołyńskie błota rozlały się dokoła nas szeroko; brudne, popielate obłoki przepływały leniwie ponad pałacem, w którym życie zdawało się zamierać. Baronowa cierpiała na artretyzm i nie opuszczała swego pokoju; Patrycy polował na kaczki i wracał zabłocony powyżej oczu; Jerzy zamykał się całymi dniami w bibliotece, gdzie, jak go podejrzywałam, drzemał większą część czasu, mając zapewnienie decorum uczonego przybytku; często ja tylko i Niusia zasiadałyśmy do

stołu, obliczonego na kilka tuzinów biesiadników, w olbrzymiej jadalnej sali.

Nie było już pięknych księżycowych nocy, ani wonnych róż, ani ponsowych owoców. Nie żałowałam ich, miałam coś piękniejszego nad nie: spokój wewnętrzny, który pośród nich utraciłam. Już mi nie ciążyła moja obrączka; nie zdejmowałam jej, aby sobie wyobrazać, że jestem wolną.

W rocznicę mego ślubu napisałam do pana Strzemińczyca list, prawie wesoły. Usposobiły mnie do tego otrzymane w tym dniu wiadomości z domu. Matka donosiła, że jest zdrowa, że Lu

cia ładnie z dniem każdym, że kupiły sobie nowe firanki do okien.

Czytając to, myślałam:

— Mój Boże! gdyby nie on, biegałabym dotąd za półrublowymi lekcyami, mieszkałybyśmy gdzie na poddaszu i wszystkie cierpiałybyśmy nędzę.

To też każde słowo mego listu tchnęło taką wdzięcznością, takim zadowoleniem, że staruszek musiał się czuć uspokojonym, odebrawszy go. Mnie samej zdawało się niepodobieństwem, aby to pisała ta, która przed paru miesiącami zaledwie blizka była złorzeczenia węzłom, które teraz błogosławiła.

A jednak byłam szczerą: cień Wiktora nie przesunął się ani razu pomiędzy mną, a mojem piórem.

Wyszłam cało z próby ognia; w tem tylko myliłam się strasznie, iż brałam początek za koniec.

Tymczasem stała się rzecz okropna. W połowie grudnia, w szaloną śnieżną zawieję, konny posłaniec przywiózł mi telegram. Pochodził on od

pana Strzemieńczyca i zawierał te słowa. "Przyjeżdżaj natychmiast; Lucia bardzo chora".

W godzinę potem byłam już w drodze do kolei, a w niespełna trzy, z powrotem w pałacu.

Niepodobieństwem było jechać. Koła grzęzły w śliskim błocie; śnieg zasypywał oczy woźnicy; konie, zmuszone iść pod wiatr, który z szalonym pędem szedł z północy od gór — stawały, — trzeba było zawracać! Nie zapomnę nigdy, co się

we mnie działo, gdy powóz skręcał powoli, opisując głęboką bródę w rozmięklej ziemi.

Dwa dni musiałam czekać, dwa dni, przez które szalały śnieżne huragany na dworze i huragany bólu w mojej duszy; aż doczekałam się... mogłam jechać; przybyłam jeszcze dość wcześnie, aby zobaczyć, jak wygląda pierwsza młodość w trumnie; jak śmierć potrafi zamknąć na wieki oczy, które powinny były tak długo jeszcze na świecie patrzeć; które nic jeszcze prawie na nim nie widziały.

Umarła moja siostrzyczka. Tyfus przyszedł po raz drugi i już próżno nie odszedł. I nieszczęście samo nie przyszło. Przyprowadziło ze sobą drugie, straszniejsze jeszcze, które padło na moją biedną matkę i uczyniło z niej istotę nieprzytomną. Rozpacz pomieszała jej zmysły.

Przyjechawszy, zastałam w jednym pokoju martwe zwłoki, a w drugim rzucającą się w ataku szaleństwa kobietę, którą z trudnością poznałam.

I pan Strzemieńczyk, gdy wyszedł na moje spotkanie, zrobił na mnie wrażenie żyjącego trupa. Że ja wtedy sama nie umarłam, lub nie zwaryowałam, tego dotąd pojąć nie mogę. Wróciłam z pogrzebu siostry,

wiedząc, że czeka mnie drugi, i miałam jeszcze siłę prosić Boga, aby go da! jaknajprędzej.

Obląkanie mojej matki nie było owem spokojnem i łagodnem, które tylko dla otaczających jest przykre, lecz choremu lepiej z niem nieraz,

niz z przytomnością. Nieszczęśliwa zamieniła się w furę, rozbijając sobie głowę o ściany i kalecząc ręce.

Doktor nie robił żadnej nadziei wyzdrowienia; nie oddawaliśmy jej nawet do zakładu. Po kilkunastu piekielnych dniach, nad którymi nie chcę się zatrzymywać, skończyła, nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności.

Zamiast krzyżyka błogosławiącej ręki na czole, zostawiła mi ślady paznogi na twarzy; ostatnie jej słowa były dziką pogrózką, rzuconą w przestrzeń jakiemuś niewidzialnemu wrogowi.

Czara mojej boleści była tak pełna, że oceany mogły nad nią przepływać i nie dodałyby jej już ani

silną, nalegał, abym bez zwłoki wracała na Wołyń. Co do mnie, miałam jakieś niejasne poczucie obowiązku zostania przy nim. Niedołężniał już

widocznie, był sam, a nazywał się moim mężem, i przed rokiem przysięgałam mu, że go nie opuszczę aż do śmierci. Ale on ani chciał o tem słyszeć.

— Moje dziecko — mówił — praca, to istne teraz dobrodziejstwo dla ciebie. A cóżbyś ty przy mnie robiła? Byłem zawsze, jak palec na świecie i nawykłem do tego. Zresztą, trzeba choć raz pomyśleć o sobie, Karolińciu. Połowa tej emeryturzyny, jaką po mnie dostaniesz, bytu ci nie da; grzechem byłoby porzucać tak dobrą sposobność zebrania siakiego takiego kapitaliku na późniejsze lata. Jedź, jedź; pani Kostunia niełaskawa dotąd na starego, a już mi się jej wizyta należy. Jak będzie potrzeba, przyjedziesz, moje dziecko, zamknąć mi oczy, — to wszystko, czego od ciebie żądam.

Pojechałam więc, — tak samo, jakbym była została, gdyby mi powiedział: "zostań". Tu czy tam, nic mnie to nie obchodziło.

Cały dom baronowej okazał wiele Względności dla mojej podwójnej żałoby. Ze strony jej samej serce nie brało w tem żadnego udziału, gdyż ta kobieta poza swymi synami nikogo nie widziała; byłam dla niej poprostu bardzo potrzebnym sprzętem, z którym obchodziła się delikatnie, aby go nie zniszczyć.

Ale współczucie Niusi było dla mnie wielką niespodzianką. Dziwaczna ta natura wstydziała się

lepszyc swoich uczuć, jak czegoś śmiesznego; każdy objaw jej tkliwości, czy przywiązania, był jakimś ukradkowym. Nieraz, siedząc z twarzą zasłoniętą rękoma, pogrążona w rozpaczliwych dumaniach, uczuwałam, jak drobne ramiona obejmują mi kolana; cienki, dziewczęcy głosik

nazywał mnie "swoją biedną panią", parę namiętnych pocałunków odciskało się na mojej czarnej sukni, lecz nim zdążyłam ją podnieść, Niusia zrywała się i uciekała, zatrzaskując drzwi za sobą.

Tymczasem życie płynęło.

Co rano wstawałam i kładłam mój krzyż na ramiona i dźwigałam go, tembardziej się pod nim prostując, im mi się cięższym wydawał. Zaczęłam znajdować pewną rozkosz w tem codziennem przełamywaniu siebie na każdym kroku. Obowiązki moje pełniłam gorliwie: myśl, uciekającą ku grobom i wspomnieniom, zwracałam na historję i geografję; zmuszałam się mówić, kiedy mi się chciało milczeć; chodziłam, kiedybym była wołała siedzieć, na drobnostkach tych hartując się do największego przymusu — do życia.

Lato nadeszło, strojąc się w te same powaby, co poprzedniego roku; ja tylko nie nosiłam róż we włosach i nie słuchałam nuconych przy księżycu piosenek, a i tego, który je śpiewał, nie było.

— Nie może przyjechać — rzekł raz Jerzy do matki przy obiedzie, podając jej list — pisałem, zapraszając go, jak zwykle, i oto, co mi odpowiedział:

Baronowa przebiegła list oczami.

— Old fellow! — wymówiła po chwili — jeżeli taki zapracowany, to tembardziej powinienby odpocząć. Dotąd zawsze czas sobie na to znajdował. Ale to jego rzecz!

Domyśliłam się, że mowa o Wiktorze, i pierwszy raz oddawna uczulam, że mnie coś, mającego związek ze światem, obeszło. Obeszło mnie,

dlaczego nie przyjeżdża?... Czyżby dla tego samego, dla czego przed rokiem uciekł?

I scena w altanie stanęła mi żywo przed oczami, i wydało mi się na chwilę, że mi znowu ktoś wciska gwałtownie obrączkę na palec, jak wówczas Wiktor.

Minął rok jeden i połowa drugiego bez zmiany; poczem dopiero zaszło coś nadzwyczajnego — Patrycy ożenił się. Pojechał na kontrakty do Kijowa i po tygodniu wrócił niespodziewanie z wiadomością o wieczystym kontrakcie, jaki zawrzeć postanowił, i nowiny tej udzielił swemu familijnemu gronu w dość oryginalny sposób.

— Przywożę wam prezenty — zawoła! jeszcze z progu — trzy w jednym: mamie synowę, Jurkowi bratowę, a Niusi wujenkę. A i pani Strzemięczycowej także — dodał po uciszeniu się pierwszych wykrzykników — nadzieję przyszłej uczenicy, przy Bożej pomocy. Dowiedzieliśmy się wtedy, że nazajutrz po przyjeździe do Kijowa poznał panienkę "bardzo apetyczną", drugiego dnia już jej posłał bukiet — ot taki! trzeciego oświadczył się, a dziś przypę

dził po błogosławieństwo matki i po ten pierścionek, antyk z rubinem, który miał być dla Jurka; ale, że on się nie pośpieszył, więc niech go jemu odstąpi, bo się inaczej nie zaręczy.

Baronowa byłaby mu oddała wszystkie pierścionki ze swego skarbczyka, tak ją to małżeństwo uszczęśliwiło. Pokazało się bowiem, że panienka była nie tylko "bardzo apetyczna", ale i bardzo bogata, a nie tylko bardzo bogata, lecz i zupełna sierota, co uwalniało jej dozgonnego towarzysza od oglądania się na najdłuższe życie rodziców.

Pośpieszywszy się tak z zaręczynami, rozkochaną para nie uważała za stosowne odwlekać wesela. Miało się ono odbyć w domu matki pana młodego, której artretyczne dolegliwości usprawiedliwiały to postanowienie.

Cichy, zwykle, pałac zmienił się do niepoznania. Pootwierano balowe sale, pobudzono echa dawniejszych świetnych festynów trzepaniem sprzętów i wydobywaniem ze skrytek kosztownych sreber, na jakich ongi biesiadowali przodkowie baronowskiej rodziny; służba biegała, nie wyłączając poważnego kamerdynera, który w zwyczajnym stanie rzeczy byłby się pozwolił prześcignąć żółwiowi; goście zaczęli się zjeżdżać. Lekcyje uległy także przerwie. Nusia miała prowadzić pana młodego do ołtarza w różowej atlasowej sukience i trzynastoletnia jej główka na samą tę myśl dostawała zawrotu.

Ja tylko jedna byłam obca całemu temu godowemu ruchowi. Chodziłam wciąż w żałobie

i wymówiłam się naprzód od wszelkiego udziału w przygotowujących się uroczystościach. Natomiast, korzystając z wolniejszych chwil, wzięłam się do haftowania myśliwskiej torby dla Patrycego. Był to w gruncie bardzo dobry chłopiec i chciałam mu się odwdzińczyć za niejedną dowód życzliwości, jaki mnie od niego spotkał.

Na dwa dni przed weselem szłam korytarzem, wiodącym z mego pokoju ku schodom pierwszego piętra. Korytarz ten przerzynał tę część pałacu, w której mieściły się gościnne pokoje i na tę chwilę było na nim cicho i pusto. Wszyscy znajdowali się na dole przy obiedzie. Ja od paru dni jadłam u siebie.

Byłam już bliska schodów, gdy rozległy się na nich szybkie męzkie kroki. Spojrzałam. Na górę biegł Wiktor. Poznałam go odrazu, a raczej odgadłam, bo głowę miał spuszczoną. Był w podróżnym ubraniu z torebką u boku; widocznie musiał dopiero co przyjechać.

Zatrzymałam się, niepewna, czy się cofnąć, czy iść dalej. Szelest mojej sukni zwrócił jego uwagę.

Podniósł oczy, i widziałam, jak schwycił się balustrady, stojąc już na ostatnim stopniu.

Milczeliśmy przez chwilę. Czułam, że musiałam bardzo zblednąć! I on był także bły, a wzrok jego szedł od mojej twarzy ku żałobnemu oszyciu sukni. Konwencyjonalne słowa powitania nie chciały nam przejść przez usta.

Nagle on poskoczył ku mnie i ręce moje pochwycił.

— Owdowiałaś pani! — zawołał głosem, którego nie zapomnę nigdy.

Gdyby mi był zaczął opowiadać długo

O wszystkim, co przez te trzy lata samotne serce mogło przemarzyć i przetestnić, o nadziejach, jakie nim mogły kołysać, nie byłby nic więcej powiedział, a ja nie byłabym tego lepiej zrozumiała, jak w tym jednym wykrzykniku: "Owdowiałaś pani!"

Podniosłam na niego oczy i wydał mi się pięknym, jak nigdy.

— Nie — odpowiedziałam — straciłam matkę i siostrę.

— A! — rzekł tylko.

Puścił moje ręce, i staliśmy znów naprzeciwko siebie bez słowa.

— Matkę i siostrę! — powtórzył wreszcie — te, dla których poświęciłaś się pani! One umarły, a... on żyje... To okropne!

Okropne, prawda, wiedziałam o tem dawno. Ale pierwszy raz może tragiczność mojej dcli przedstawiła mi się z tej właśnie strony. On żył, a one umarły!... Śmierć pomyliła się, wzięła przedwcześnie dwa życia za jedno, które powinno się już było skończyć...

— Nie mówmy o tem — rzekłam, hamując dziwny bunt, który nagle we mnie zawrzał. — Na cóż się to przyda?

— Prawda — odpowiedział z goryczą — zapomniałem, że pani to tylko robi, co się na

coś przydać może. Co do mnie, nie jestem jeszcze tak praktyczny.

Przyjechałam tu, bo się nie mogłem wymówić — ciągnął dalej prędko, jakby w obawie, abym mu nie przerwała — zresztą mniej lękałem się kilku dni, niż paru miesięcy, i... tak mi się żądało zobaczyć panią... na krótko! Wiedziałem, że mi się to na nic nie przyda, ale...

— Przykro mi, że nie będę mogła wiele korzystać z towarzystwa pana — rzekłam spokojnie napozór. — Jestem prawie ciągle u siebie; pojmujesz pan, że między wesołymi miejsca dla mnie niema.

Twarz Wiktora sposepniała jeszcze bardziej.

— W takim razie nie zatrzymuję pani dłużej — rzekł krótko z ceremonialnym ukłonem. — Zapewne i ja, w przekonaniu pani, zaliczam się także do wesołych — dodał sarkastycznie.

Wyciągnęłam do niego rękę.

— Dowidzenia — rzekłam serdeczniej może, niż chciałam. —

Zobaczymy się jeszcze.

Nie weszłam już na dół; wróciłam do mego pokoju i płakałam długo, ale tym razem nie nad mojem sieroctwem.

W dzień ślubu stałam przy oknie, wychodząc na pałacowy dziedziniec, i przyglądałam się odjazdowi weselnego orszaku do kościoła.

Było to w południe. Cudowny, wiosenny dzień zdawał się wróżyć szczęśliwą przyszłość państwu młodym. Świetne uprząże karet i liberyjne guzy służby błyszczały w słońcu; postrojone kobiety schodziły z kamiennych stopni tarasu, unosząc atłasy i aksamity swych trenów olbrzy

mich i otaczając ukwiecone głowy koronkowemi zarzutkami.

Mężczyźni w rozpiętych paltotach, " przez wzgląd na bielące się u fraków bukieciki, stali przy drzwiczkach, podnosząc upuszczane przy wsiadaniu wachlarze lub chusteczki. Wymieniały się spojrzenia, spotykały ręce. Było dużo panien i dużo młodzieży w tym tłumie, i może nie jeden on i nie jedna ona z pomiędzy nich myśleli o podobnej chwili dla siebie. Panna młoda wsiadła ostatnia do karety z baronową i swoim opiekunem, szlachcicem potężnej tuszy, który bokiem do powozu wciskać się musiał. Patrycy podał swej pani wspaniałą bukiet z białych kwiatów, i widziałam, jak jej świeża, okrągła twarzyczka rumieniła się pod wejrzeniem narzeczonego. Konie ruszyły, a oni jeszcze patrzyli na siebie, jakby mówiąc sobie oczyma: "Wrócimy razem we dwoje". Przypomniał mi się mój własny ślub: ten dżdżysty, październikowy ranek, ten ciemny, chłodny kościół i ta garstka żebraczek i dziadów z głupowato złośliwemi uśmiechami na pomarszczonych twarzach. Czy podobna, aby to była też sama ceremonia?

W tej chwili stojący jeszcze na dole Wiktor spojrział ku oknom i zobaczył mnie. Czy odgadł, jakie myśli mogły się snuć po głowie kobiety, której historia była mu znaną, gdy tak stała sama W żałobie i patrzyła na ślubny

welon i pomarańczowy Wieniec młodej narzeczonej? Być może, gdyż wyrazista twarz jego zmieniła się nagle.

Uklonił mi się z rodzajem ironicznie smutnego uśmiechu, spojrzał na godło drużby, przypięte mu paluszkami mojej uczennicy. Było we wrażeniu, jakie mi cała ta scena zostawiła, coś takiego, co mi się dotąd na widok każdego ślubu odnawia i czyni mnie go tak przykrym, że uciekam, gdy ujrzę zdaleka białe lejce lub organ weselny usłyszę. Gdy ostatni powóz zniknął za bramą dziedzińca, odstąpiłam od okna i chodziłam po wszystkich pokojach, nurtowana szczególną potrzebą ruchu. Wszędzie było pełno kwiatów; w jadalnej sali ustawione w podkowę stoły uginały się pod ciężarem sreber, kryształów i piramid. Wkrótce — mówiłam sobie — ściany te napełnią się gwarem rozmów, brzękiem szkła, zadrzą od weselnych toastów, wtedy mnie tu nie będzie. Zarówno przy uczcie poślubnej, jak przy wielkiej biesiadzie życia, miejsce się już dla mnie nie znajdzie. Wymówiłam się sama od jednej, sama sobie zatamowałam przystęp do drugiej, nie powinnam się skarżyć. A jednak niewypowiedziany smutek zstępował na mnie wraz z temi rozmyślaniami; poczucie jakiegoś okrutnego wydziedziczenia rozsadzało mi piersi. Wystawny obiad trwał przez kilka godzin; wieczorem zaczęto tańczyć w wielkiej balowej sali, której francuzkie okna wychodziły na wiszącą nad ogrodem werandę. Raz po raz głośniejszy akord walca wpadał do mego pokoju,

zakłócając ciszę, w jakiej usiłowałam się pogrążyć napróżno. Byłam młoda, tuż obok mnie kochano się, żeniono, bawiono, i ten gorący, świetlany prąd życia, potracający W biegu o moją naga, suchą egzystencję, drażnił mnie i podniecał.

Noc była ciepła i widna. Zrzuciłam szal i wybiegłam do ogrodu ochłodzić pałającą głowę i uspokoić rozigrane nerwy.

Zaledwie uszłam kilkadziesiąt kroków bezlistną jeszcze grabową aleją, gdy rubinowy punkcik cygara błysnął naprzeciwko mnie i zaczął się zbliżać szybko. Mógł to być każdy z gości, rzeźwiący się w ten sposób po trudach balowych, mnie przecież światełko to przywiodło odrazu na pamięć piosnkę do księżycy, usłyszaną przed trzema niespełna laty, i serce zabiło mi gwałtownie.

Jakoż to był on w istocie.

— Miałem jakieś przeczucie, że panią spotkam — rzekł, rzucając cygaro, głosem, nie wyrażającym żadnego zdziwienia z powodu tak spóźnionej mojej przechadzki.

Staliśmy na wprost okien pałacowych, i płynące z nich strumienie światła pozwalały mi widzieć dokładnie jego piękną, śmiałą głowę, chmurnie zamysłony wyraz oczu, które we mnie utkwiał, i przywiedły bukiet na kłapie fraka.

— Pan nie tańczy? — zapytałam, aby coś powiedzieć i nie podnieść tematu owego przeczucia, który mi się wydał niebezpiecznym.

— Owszem, tańczyłem i tańczyć będę. Tańczę zawsze, gdy to inni robią. Teraz tylko wyszedłem podumać o... o tem, czem będę bawił moją damę w kontredansie.

Zrobiłam poruszenie, aby odejść.

— Nie chce mi pani przeszkadzać w tem Ważnem zajęciu? — rzekł ironicznie, zastępując mi nieco drogę. — Ileż tu względności! Ale wybacz pani, jeżeli nie oceniając jej, jak należy, poproszę, abyś została. Wszak możemy się przejść trochę? Tak już dawno nie chodziłem z panią — dodał, spoglądając ku czerniejącemu W dali laskowi.

Uszliśmy kilka kroków.

— Patrycy ma bardzo milutką żonę — odezwał się Wiktor a starsza druchna, jej cioteczna siostra, to skończona piękność. Uważałem, iż Jerzy z niezwykłą gorliwością pełni przy niej obowiązki druzby.

— Podobno na weselach najłatwiej się kojarzą małżeństwa — rzekłam, uśmiechając się nieco. — Może więc będziemy mieli drugi ślub.

— Może — odpowiedział z roztargnieniem. — Czy nie jest pani tego zdania — dodał po chwili — że moi kuzynowie, jeżeli się mieli żenić, mogli to byli przed kilku laty skutecznić? Imby to nic nie zaszkodziło, a innym... pomogłoby bardzo wiele.

Udałam, że nie rozumiem, do czego stosowały się te słowa.

— Przed kilku laty byli jeszcze zbyt młó

dzi — odparłam. — Zapomina pan, że pan Patrycy dopiero dwadzieścia sześć lat skończył.

— W różnym wieku ludzie się żenią — zauważył sucho. — A z dwóch okoliczności, niewiadomo, która lepsza.

Zmilczałam.

— Powiedz mi pani — zawołał z nagłą gwałtownością, — czy nigdy, nigdy, choćby na jedną chwilę, nie pożałowałaś, że nosisz... to!

Pochwycił w dwa palce moją obrączkę, połyskującą w pomroku na ręce, którą przytrzymałam szal, i ścisnął ją tak mocno, że omal nie pękła.

Cofnęłam się trochę.

— Owszem — odpowiedziałam stłumionym głosem — żałuję od dwóch lat, że mi na tak krótko była potrzebna.

— Tylko dla tego! dla niczego więcej? Odwróciłam głowę, i nastąpiła długa chwila

milczenia. Wtem Wiktor dotknął zlekka mojego ramienia.

— Patrz pani! — wymówił.

Spojrzałam.

Naprost nas, na werandzie, stanęły dwie osoby. Kobieta w białej sukni, z głową jakby w mlecznej, przejrzystej mgłę tonącą, oparła się o balustradę, lecz towarzyszący jej mężczyzna pochylił się nad nią, objął ją w pól i przyciągnął do siebie. Stali tak nieco w cieniu, odsunięci w głąb od niedyskretnych okien, sami, zawieszani pomiędzy niebem i ziemią. Na tle czarnego fraka wieniec panny młodej odcinał się wyraźnie.

śnieżne draperye welonu gniotły się i zapadały w uścisku dwojga ciemnych, opasujących je ramion.

— Patrz pani! — powtórzył Wiktor — ci ludzie są szczęśliwi w tej chwili. Kochają się i należą do siebie. Co nad to lepszego marne życie człowieka dać może?

Stal tuż przy mnie, i choć nie patrzyłam na niego, czułam bezwiednie płomienne jego spojrzenie, czułam, że usta, które te słowa wymawiają, drżeć muszą.

I ja także drżeć zaczęłam. Nie mogłam oderwać oczu od tych dwojga nad nami w uścisku stojących, czar tego obrazu miłości przykuwał mnie niepojętą siłą do miejsca.

— Pójdźmy ztąd — zawołał nagle Wiktor. — Czy pani istotnie tak nic ziemskiego w sobie nie ma, że może stać tu ze mną spokojnie i patrzeć na to... i nie lękać się?

— Czego? — zapytałam machinalnie, bo byłam jakby odurzona, i przez pół go tylko rozumiałam.

On pochylił się nade mną, jak przed chwilą Patrycy nad swoją żoną.

— Czego? — powtórzył namiętnym, przyciszonym głosem. — Oto tego. że jesteśmy równie młodzi i sami, jak oni, i że ja cię...

Zaćmiło mi się w oczach, i dotąd nie wiem, czy to było złudzenie, czy rzeczywistość ta blada, drgająca twarz tuż przy mojej twarzy i tych dwoje ramion, które mnie otoczyć chciały.

— Nie kończ pan! — zawołałam — ja nie mam prawa tego słyszeć.

Widzenie znikło. Błada twarz cofnęła się i oparła o drzewo, ramiona opadły.

— Nareszcie, rozumiała pani! — wyszeptał głucho głos Wiktora. Zrozumiałam, niestety, coś więcej jeszcze. Zrozumiałam, że nie miała prawa nie tylko słyszeć tego, co chciał powiedzieć, ale i czuć tego, co czułam w tej chwili.

Ze zwieszoną głową, nie śmiejąc spojrzeć na niego, odwróciłam się i zaczęłam iść aleją. On szedł obok mnie, milczący i posepny. Raz jeszcze, ulegając nieprzewartemu popędowi, rzuciłam okiem ku werandzie. Nie było już nikogo. Może mi się to wszystko razem zdawało tylko?

U końca alei Wiktor przystanął.

— Pożegnaj panią tutaj — wymówił — tam koło pałacu pełno ludzi; nie potrzebują nas widzieć razem. Wyjeżdżam za kilka godzin, nad ranem. Nie zarzekam się już, że nie wrócę nigdy, bo przysiągłem to sobie uroczyście przed trzema laty, a jednak jestem tu dzisiaj. Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zobaczymy się tak prędko... przez ten czas mogą zajść różne zmiany. Czy przyrzekniesz mi pani rzecz jedną, o którą mam może prawo prosić?

Skinęłam głową, niezdolna wymówić ani sylaby.

— Przypomnij sobie o mnie, gdy będziesz wolna — wymówił głęboko wzruszonym głosem. — Ja będę czekał, Karolino! — powtórzył jeszcze,

nazywając mnie znowu po imieniu z taką samą, jak przed trzema laty, pieśczętą głosu — ja będę czekał!

Ujął moją rękę i przycisnął ją do ust poraz pierwszy, i tulił ją tak długo... długo... dopóki mu jej sama nie wysunęłam i nie odeszłam. Nie zaznałam

nigdy innego pocałunku miłości, ale ten jeden jedyny pozostał mi na zawsze w pamięci, i dziś jeszcze, choć jestem zwiędłą kobietą, potrafię się zarumienić na jego wspomnienie.

Karolina umilkła na chwilę. Jej starodziejowa twarz różowiła się istotnie łuną gorącego rumieńca; chude palce drżały lekko, splecione przy płaskiej, niemłodej piersi.

Patrzyłam na nią z nieopisaną litością.

Biedna, wydziedziczona istota! Inni depczą po różach życia, a jej danem było uszczknąć zeń tylko blady, maleńki pączek, i może dlatego właśnie przechowywała go tak religijnie.

— Gdyby mnie kto zapytał, — ciągnęła dalej po krótkiej przerwie — co było właściwie dramatem mego życia: czy ta garść wypadków, jakie pani opowiedziała, czy te długie, bezbarwne lata, jakie po nich nastąpiły, nie umiałabym odrzec na to z pewnością, ale zdaje mi się, że chyba te ostatnie. Tamto wszystko było twardym, w ciężkim znoju pod gorzkie owoce przygotowanym gruntem, tam było przynajmniej działanie, tu straszna, bezsilna reakcja.

Przyjazd Wiktora, a zwłaszcza ostatnia z nim rozmowa, stały się dla mnie przełomowym pun

ktem życia. Rozpoczęta i przerwana przed trzema laty duchowa robota dokonywała się teraz we mnie tem skuteczniej, że nic już jej na przeszkodzie nie stawało. Nie miałam już kogo kochać, ani o kim myśleć, ani nawet przez kogo cierpieć. Czas łagodził moją żalobę, ale w sercu zato robiło mi się coraz puściej. Z konieczności więc zastanawiałam się nad sobą samą i nad moją dolą, i to zastanawianie się było dla mnie zgubą.

Zaczełam się czuć nietylko osieroconą, lecz i pokrzywdzoną okrutnie; moje bezużyteczne już poświęcenie wydawało mi się potworną niesprawiedliwością losu. Stracona swoboda i zmarnowana młodość moja stawały przede mną, wołając z wyrzutami: Coś z nami zrobiła? Nie poznawałam siebie. Wszystkie utajone na dnie mojej natury zasoby życia i młodości zbudziły się w owym wstrząśnieniu, jakiego doznałam, ujrawszy wyciągające się ku mnie ramiona Wiktora i już zasnąć nie chciały. Namiętne pragnienie osobistego szczęścia owładnęło całym moim jestestwem; rwało mi się serce ku nieznanym uczuciom, myśl ku nieznanym wrażeniom, zmysły ku nieznanym rozkoszom. Miewałam chwile szalonego buntu, w których nierozzerwalność małżeństwa wydawała mi się barbarzyństwem; w których nienawidziłam biednego pana Strzemińczyca zato, że mi się z drogi nie usuwa; w których dochodziłam do życzenia mu śmierci. Tyle potrzebnych ojców rodzin, tyle kochanych matek i ubóstwianych dzieci umierało codziennie na szerokim świecie, a on żył i żył na moją mękę! Ale, gdy

mi w duszy taki huragan namiętności przehuczał, stawałam się dla siebie najsurowszym sędzią. Przejmowała mnie. niewysłowiona pogarda dla mojej nikczemnej, niewdzięcznej natury; byłabym rada upaść do nóg tego zacnego starca i przepraszać go ze łzami za moje winy. Wszak on miał prawo do moich starań i opieki, miał prawo żądać, abym go nie opuszczała aż do ostatniej chwili, a jednak zostawił mi taką wolność, jaka była w jego mocy; zamknął się w swojej samotności, pisywał nawet rzadko, a w tych krótkich, zgrzybiałą ręką kreślonych listach, przebijała się jakaś troska i zniechęcenie. Rzec było można, iż odgadywał stan mojej

duszy, i gryzł się tem potajemnie. "Jestem, jak ten klucz, którymby kogoś W więzieniu zamknęto"; pisał w jednym miejscu: "biedny klucz! co on temu winien, że dotąd W zamku siedzi, a więzień go może przeklina. " Mnie wstyd palił czoło, gdym takie rzeczy czytała; odpisywałam mu, kłamiąc spokój i rezygnację, zapewniając, że niczego, co się stało, nie żałuję, i tłumiałam urągające się tym zapewnieniom głosy na czas jakiś. Te ciągłe wewnętrzne walki, których nikt z tych, co ze mną przestawali, ani się mógł domyśleć, męczyły mnie i wyczerpywały. Wiedłam szybko, traciłam dawną pełność kształtów i świeżość cery; na twarzy osiadał mi jakiś niemłody, udęczony wyraz. Mnie samą nie tyle to uderzało, dopóki, przechodząc raz koło pokoju baronowej, nie usły

szałam żony Patrycego, wydziwiającej się nad zmianą mojej powierzchowności.

— Co się z tej Strzemięczycowej zrobiło? — mówiła. — Przed dwoma laty, kiedy ją poznałam, była jeszcze taka ładna! Zestarzała się okropnie. Baronowa odrzekła na to, że jestem zawsze jednakowo sumienną i gorliwą nauczycielką i że poza tem mogę się zmienić, jak mi się podoba, i zaczęły obie pieścić się z dzieckiem, które młoda pani piastowała na kolanach. Dziecko!... Ach! pani!... gdybym ja ci opisać mogła, co się we mnie działo na widok takiej maleńkiej istotki!... Zazdrościłam każdej biednej, wiejskiej kobiecie, której szyję obejmowały jakieś brudne, różowe rączyny; potężny macierzyński instynkt podnosił moją pierś; potrzeba pieśczenia, kochania, tulenia do siebie jakiegoś maleństwa nurtowała moje wnętrzości.

Kiedy państwo Patrycowie zaczęli odwiedzać matkę, już nie sami, wsuwałam się ukradkiem do pokoju, w którym stawiano kołyskę. Jeżeli nikogo nie było, klękałam przy niej, wpatrywałam się w śpiące wśród puchów i koronek dzieciątko i wyobrażałam sobie, że jestem matką; że przeszłam przez całą boską tajemnicę tych upojeń, nadziei, oczekiwań i bólów, których wynikiem jest to cudne, niemowlęce ciało; że za chwilę otworzą się drzwi, wejdzie mój mąż, taki podobny do Wiktora, jakby on sam; że obejmie mnie wół z uśmiechem i oboje pochylimy się

nad naszym skarbem. Ach! jedną taką chwilę mieć w życiu!...

Czemżebym ja jej nie okupiła! Te ciche, rozkoszne żony i matki' wydawały mi się szczęściem tak wielkiem, że nie pojmowałam, jak kobiety, których ono jest udziałem, mogą jeszcze na coś narzekać, czegoś więcej pragnąć.

A potem myśl, że ja nigdy, nigdy tego szczęścia nie zaznam, przesywała mi serce, jak sztyletem. Zrywałam się od kołyski i uciekałam, zakrywając oczy, aby nie widzieć, aby zapomnieć i o cudzych oazach, i o mojej własnej Saharze.

Jedyną moją pociechą była praca nad kształceniem Niusi. Ta przynajmniej nie poszła na marne. Mogę o niej pomyśleć z pewną chlubą. Zrobiłam z tego niesfornego, fantastycznego dziecka, coś więcej nad stereotypową, starannie wychowaną pannę, jaką ją mieć chciała baronowa; zrobiłam istotę myślącą i czującą. Inteligencya jej wyszlachetniała i stała się podatna do wsiąkania w siebie nie samych tylko miazmatów wiedzy.

A, co najbardziej mogło mnie cieszyć, to szczere przyłgnięcie do mnie tego, bądź co bądź, oschłego serca. A ja nie broniłam się głębszemu dla

niej uczuciu. Wyrobił się we mnie pewien melancholijny egoizm, właściwy tym, którzy dużo w życiu przeszli, egoizm, ostrzegający ich przeciw okazji do nowych cierpień.

— Za lat parę porzucę ten dom na zawsze — mówiłam sobie — pocóż miałabym zostawić

W nim kogoś, za kimbym tęskniła napróżno! O mnie tu wszyscy prędko zapomnę.

Wyjazd za granicę na dokończenie edukacji Niusi przyszedł wcześniej do skutku i przeciągnął się dłużej nad pierwotny zamiar. Baronowa czuła się zdrowszą, artretyzm przestał jej dokuczać, podróżnicza żyłka, z jakiej podobno niegdyś słynęła, odezwała się w niej na starość.

Pojechałyśmy najprzód do Drezna, potem przez Włochy i Szwajcaryę, na pół roku do Paryża, a ztamtąd do jej ukochanej Anglii.

W pałacu został tylko Jerzy ze swoim "dogiem", ale i jego znęciły mgły albionkie i spadł nam tam niespodziewanie pewnego dnia, z czysto brytańską flegmą odpowiadając na powitalne uniesienie matki.

Miałam pewne skrupuły opuszczać kraj i zostawić W nim pana Strzemięczycza, którego dnie zdawały się już policzone. Nadmieniłam coś o tem baronowej, ale ta za całą odpowiedź zatkała sobie uszy, oświadczając, iż kontrakt mój kończy się za półtora roku, i że dopiero po jego upływie mówić ze mną o tem będzie.

Pojechałam więc tylko do Warszawy na parę tygodni pożegnać staruszka i zobowiązać go, aby w razie choroby natychmiast mnie o tem zawiadomił. Nie widziałam go od owych strasznych pogrzebowych chwil; nie śmiać bowiem naruszać ich wspomnień, nie jeździłam już do Warszawy, ale nie

znalazłam w nim prawie żadnej zmiany. Bo też wyglądał wtedy tak okropnie, że trudno już było o jakiś postęp w tym kierunku. Kończył

dziewięćdziesiąty pierwszy rok, miał jednak jeszcze wszystkie władze i zadziwiającą jasność umysłu. Tylko smutny był i przybity ogromnie. Dziwnie przykry był ten mój krótki pobyt u niego dla nas obojga. Źle nam było ze sobą. Dziwaczność naszego stosunku, acz czysto formalna, ciążyła nam i krępowała bezwiednie naszą dawną serdeczność. Ja czułam do niego jakiś żal mimowolny, którego się sama przed sobą Wstydziłam; on zdawał się go domyślać. Niejednokrotnie spotykałam jego przygasły, znużony wzrok, tkwiący we mnie ze szczególną, politowania pełną badawczością. Ruina mojej powierzchowności i jego uderzyć musiała, i może w ten sposób doszukiwał się jej przyczyn, z ust moich niczego się dowiedzieć nie mogąc.

Nie rozmawialiśmy wcale o przeszłości, ani o tych, których już pomiędzy nami nie było.

Ponieważ wychodził jeszcze na miasto, więc kilka razy wyprowadzałam go na spacer. Kiedyśmy tak szli wolniutko ulicą, on, wsparty na mojej ręce i na grubej lasce, oddychający ciężko, z twarzą żółtą i posiatkowaną zmarszczkami, wówczas przychodziło mi na myśl, że Wiktor znajduje się w tem samym mieście, i że moglibyśmy się spotkać.

Raz nawet wydało mi się, że go widzę zdaleka, i krew zastygła mi w żyłach.

— Dzięki ci, Boże, że to nie on — powiedziałam sobie, gdy mnie wymijał jakiś nieznajomy przechodzień — dzięki ci, Boże — powtórzyłam, wzdychając mimowolnie, bo pragnęłam skrycie

tego spotkania; pragnęłam go z tą chorobliwą nielogicznością, z jaką lubimy czasem dotykać się niezagojonej rany, aby się przekonać, że nas jeszcze boli.

Los przecie okazał się rozsądniejszym ode mnie, i zejść nam się nie dozwolił.

Wyjechałam z Warszawy, nie zobaczywszy go, nie wiedząc nawet, co się z nim dzieje.

Pobyt za granicą zbawiennie na mnie oddziałał. Potrzeba mi było ruchu, zmiany, wrażeń. Sztuka, natura, ludzie, wszystko to nowe i nieznane, dostarczało pokrzepiającej karmy mojej wyczerpanej wyobraźni.

Zacząłam żyć bardziej na zewnątrz, w każdej galeryi, nad brzegiem każdego jeziora zostawiałam coś z mego burzliwego, w ciasnej klateczce własnych tęsknot i porywów roztrącającego się ja. Czułam, że młodość moja uchodzi, i zegnałam ją bez żalu, z rodzajem ulgi, jakgdyby pozbywając się głodnej mary, którą nasycić nie było w mojej mocy. Dręczące oczekiwania jakiejś zmiany, jakiejś jeszcze możliwości szczęścia, napady gorączkowych nadziei, po których w tem głębsze pograżałam się zwątpienie, ustępowały zwolna. Szary spokój, istny popiół strawionych samych w sobie żądz, osiadał na dnie mojej duszy. Niczego się już nie spodziewałam od życia, ale postanowiłam brać z niego to najlepsze, co mi dać mogło.

Chętnie też zgodziłam się na uczynioną mi, po upływie kontraktu, propozycję baronowej pozostania w charakterze towarzyszki przy Niusi, dopóki ta zamąż nie pójdzie.

Pocóż miałabym wracać do domu? Pan Strzemięczyc mnie nie wzywał; zaprzestał nawet pisywać i tych króciutkich listów, co się jego wielką starością tłumaczyło. Wiedziałam wszelako, iż żyje, i chciałam wierzyć, że mu nie jestem potrzebna, gdyż mi to w gruncie rzeczy dogadzało. Przy obecnym moim nastroju wołałam jeździć po Europie, niż pielegnować zgrzybiałego starca, który, bądź co bądź, był dla mnie obcym. Nie było to zapewne bardzo wzniosłe, ale poprostu ludzkie i naturalne. Nie czułam już w sobie żadnej skłonności do poświęceń; moje uspokojenie wewnętrzne odbywało się kosztem tkliwszych stron mego serca.

Twardniałam, jak stygnący metal.

Baronowa prowadziła wystawne życie w Londynie. Miała tam z dawniejszych czasów liczne stosunki w sferach high life'u i brała udział wraz z wnuczką we wszystkich świetnościach wiosennego sezonu stolicy. Marzeniem jej było wydać Niusię za Anglika.

Ja, naturalnie, ukazywałam się w salonach tyle tylko, o ile obecność moja była potrzebna, fale godziłam się już z rolą widza w życiu i szukałam przyjemności w przyglądaniu się jego scenom i aktorom. To swobodne spektatorstwo pozwoliło mi najpierwszej spostrzedz żywsze zajęcie, jakie oryginalna uroda i ekscentryczne usposobienia mojej wychowanki obudziły w jednym z młodych "starszych synów". Nie miał on wprawdzie nic angielskiego w swojej powierzchowno

ści, nie zdołały go ani piegi, ani ryże bokobrody, ani długie zęby; nie otwierał nawet ust na szerokość bramy hotelowej przy wymawianiu litery o; ale posiadał nadzieję tytułu sir'a wraz z kilkoma tysiącami funtów dochodu po śmierci ojca, piękne konie, doskonale wychowanie i był bardzo przystojnym brunetem.

W Angli, na wielkim świecie, konkury nie trwają długo. Zaczynają się i kończą pomyślnym rezultatem w ciągu jednego sezonu, albo pełzną na niczem.

W pierwszych dniach lipca Nusia była już zaręczoną, a w miesiąc potem odbył się ślub w Londynie, w kościele św. Jerzego na HanoverSquare. Zadanie moje było słończone. Otrzymałam dwa tysiące rubli tytułem gratyfikacji w prześlicznej z różanego drzewa, srebrem inkrustowanej, szkatułce do roboty, z bogatymi wewnątrz przyborami, pamiątkowym podarunku Niusi. Dzięki oszczędności, do której się wdrożyłam, nie naruszałam mojej pensji, procentem, od pozostałej po matce sumki, opędzając moje potrzeby; złożony więc wszystko razem, znalazłam się w posiadaniu około dwunastu tysięcy rubli. Miałam być zapewniona; myślałam przecież o dalszej pracy. Bezczytność była mi wstrętna; zresztą, chodził mi już po głowie plan pewien, który mi teraz, jako jedyny cel życia, pozostał, a dla niego nigdy zadość pieniędzy. Gdyby nie on, nie byłabym przyjęła ofiarowanej mi przez baronową gratyfikacji; gdy

by nie on, nie ślęczałabym dziś po nocach nad haftami.

Niusia żegnała się ze mną o wiele czulej, niż z babką, kiedy mąż uwoził ją w sakramentalną wedding journey po stałym lądzie.

Baronowa i ja pojechałyśmy jeszcze na sześć tygodni do Wiesbaden'u, następnie wróciłyśmy do kraju.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, powrót ten wypadł w rocznicę mojego ślubu; o tej samej prawie godzinie wysiadłam z wagonu w Warszawie, o której przed ośmiu laty stanęłam u ołtarza.

Ranek nawet był tak samo dżdżysty i niemiły. Myślałam o tem, kiedy dorożka wiozła mnie drzez mokre, puste jeszcze ulice miasta; powracająca fala wspomnień płynęła ku mnie od tych dobrze znanych chodników, sklepów, domów.

— Czy znowu zacznę cierpieć? — mówiłam sobie z obawą, broniąc się ogarniającej mnie melancholii.

Weszłam na schody i zastukałam do mieszkania pana Strzemieńczyca. Otworzyła mi nieznajoma kobieta, mierząc mnie zdziwionem i dosyć kwaśnem spojrzeniem.

— Czy pan Strzemieńczyk śpi jeszcze? — spytałam z pewnym niepokojem.

Ruszyła ramionami.

— Takie to spanie i niespanie. A czy to pani, co tu była u niego, będzie ze dwa lata czy coś? — zapytała nawzajem.

— Tak, ja.

— To do pani pisali?

— Ktoby miał pisać? — podchwyciłam ze wzrastającym przeczuciem czegoś niedobrego.

— Ja nie wiem. Myślałam, że pisał kto z domu, rządcą albo kto, jak skoro pan tak zaniemógł.

— To chory! — wykrzyknęłam, chwytając za klamkę.

— Jeszcze jak. Już trzeci tydzień. Stróżowa go znalazła na łóżku całkiem bez duszy. Myśleli, że już po nim. Ale się go docucili z doktorem i żyje. Musi go zawiązo, czy co. Mnie najęli, abym go pilnowała. Ano pilnuję, chociaż ani wiem, kto mi zapłaci, a strach, co przy nim mordunku.

Zobaczy pani.

Nie słuchałam jej już i weszłam do pokoju, drżąc na całym ciele.

Pan Strzetnieńczyc siedział w fotelu z zamkniętymi oczyma. Trzęsła mu się głowa, ręce, kolana; z piersi dobywał się dygocący oddech, podobny do nerwowego chychotu. Koszula była na nim brudna, szlafrok niedbale włożony i podarty.

Dookoła panował straszny nieporządek. Powietrze duszne. Czuło się tu opiekę płatną i źle płatną.

Stałam jak wryta, nieśmiejąc zbliżyć się do niego, takim upokarzającym wyrzutem spadło na mnie to osamotnienie, w jakim biedny starzec zdawał się dogorywać.

Wtem pan Strzemieńczyc uniósł powieki i wpatrzył się we mnie smętnym wzrokiem, który się stopniowo rozjaśniał. Ręką wyschłą i sino

zółtą zaczął mi dawać łagodnie przyzywające znaki, próbując się uśmiechnąć.

— Karolińcia! — wyjąkał — żona moja!

— Musi malignę ma! — szepnęła za mną dozorczyńni.

Podeszłam ku niemu i pochyliłam mu się do ręki.

— Poznałeś mnie pan! — rzekłam nieśmiało.

— Tak — odpowiedział z trudnością — tak. Wiedziałem. Czekałem. Śniła mi się twoja matka.

Wybuchnęłam płaczem. Jak ja go mogłam tak zostawić! dobroczyńcę mojego! człowieka, który niegdyś kochał moją matkę!

O, niewdzięczna — powtarzałam w duchu, oblewając łzami jego biedną, niedołężną rękę — niewdzięczna.

Z rodzajem egzaltacyi oddałam się cała pielęgnowaniu chorego.

Odprawiłam dozorczyńnię, a natomiast przyjąłm służbę i z jej pomocą w ciągu paru dni zmieniłam do niepoznania zaniedbane mieszkanie. W drugim małym pokoiku rozlokowałam moje rzeczy. Wszak byłam u siebie? Pana Strzemieńczyca tknąć się służbie nie pozwalałam, sama koło niego chodząc i umilając mu, czem tylko mogłam, te ostatnie, jak sądziłam, chwile. Wezwany doktor powiedział mi, że stan taki może się przeciągnąć jeszcze czas pewien lub każdego momentu skończyć śmiercią. Minęło parę miesięcy, a śmierć nie nadchodziła. Oswoiwszy się już z ciągłym oczekiwaniem na

nią, zaczęłam rozglądać się za jakąś pracą. Pan Strzemieńczyk po całych dniach czasem pozostawał jakby w letargu i obecność moja nie była mu

wtedy potrzebną. Mogłam więc z czystym sumieniem rozporządzać kilkoma godzinami na dobę.

Teraz wszystko szło mi łatwiej. Miałam stosunki przez krewnych baronowej, mieszkających w Warszawie; znalazło się parę korzystnych lekcji; przyszło mi na myśl spożytkować moją zręczność do robót, w jakiej się za granicą wydoskonaliałam, i zaczęłam przyjmować obstalunki. Zresztą nie potrzebuję opisywać pani mojego życia. Stało się takim, jakim jest teraz — znasz je pani dobrze. Jedynym w niem wypadkiem była zmiana mieszkania przed dziesięciu laty. Burzono tamtą oficynę, i musieliśmy się przeprowadzić. Lękałam się, aby to utrudnienie nie zabiło pana Strzemińczyca. Ale nie, — żyje, jak pani widzi, jeżeli tę dziwną wegetację życiem nazwać można. W pierwszych latach strach mnie nieraz przejmował, gdy, czuwając przy nim nocą, zastanawiałam się nad niezwykłością tego faktu. Ten blisko stuletni, zgrzybiały, wciąż jakby konający starzec, w którym jakaś ukryta siła utrzymywała migotliwą isierką życia, co, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powinna już była zgasnąć, wydawał mi się wtedy czemś fantastycznym i tajemniczym. Bałam się spojrzeć na niego, aby coś nieludzkiego nie zobaczyć.

Dreszcz wstrząsał mną od stóp do głowy, gdy wśród głębokiej ciszy ozwał się jego głos rozbity, powtarzający z bólem: "Długie życie! długie życie!" Bo, jak teraz, tak wtedy była to jedyna skarga tej gołębiej natury. Czasem też, po jakiej oddanej mu posłudze, zatrzymywał mnie za rękę, topił w mojej twarzy zamglone źrenice i, zlekka kiwając głową, powtarzał: "Ktoby się był spodziewał! Karolińciu, ktoby się był spodziewał?"

Ach! tak, — ktoby się był spodziewał, że tak długo kajdany moje dźwigać będę! Sprawdziły się ostrzegające słowa pana Strzemińczyca. Bóg karał mnie chyba za zbytne zaufanie w moje siły, gdym, jako młoda dziewczyna, tak bezwzględnie rozprawiła się z moją przyszłością. Byłabym obłudną, gdybym przeczyła, że z tłumioną niecierpliwością wyglądałam końca tego wszystkiego. Początkowa egzaltacja w spełnianiu roli siostry miłosierdzia ostygła; zaczynałam sobie mówić, że jakiebykolwiek były moje długi i winy względem pana Strzemińczyca, rok takiego życia, jakie przy nim wiodłam, stanowił dostateczne zadosyćuczynienie. Odzywały się we mnie dawne bunty, niby echa minionej burzy. Potrzebowałam nieraz całej siły woli, aby nie cisnąć w kąt łyżki z pokrzepiającym płynem, jaki niosłam do ust dana Strzemińczyca, i nie uciec gdzie daleko, pozostawiając go jego własnemu losowi. Ale zawsze w takich razach rozbraniało mnie i zawstydzalo jakieś jego słowo, jakby W myśl moją trafiające, i wracałam znowu do własnowolnie przyjętych obowiązków.

Mogę śmiało powiedzieć, że los nie oszczędził mi ani jednego półtonu w całej chromatycznej gamie przełamania i powściągnięcia mojej natury, moich pragnień, wstrętów, skłonności.

Teraz — zapatyczniałam już krańcowo; teraz wszystko mi jedno, jak długo przewlecze się ta niepojęta zagadka życia. Doprawdy, tak do niej nawykłam, iż chwilami gotowabym uwierzyć, że nigdy inaczej być nie może; gotowabym uwierzyć, że ten biedny starzec nigdy nie umrze! Karolina zamilkła i zwiesiła głowę na piersi, a mnie zimny dreszcz przeszedł.

Były to te same słowa, które już z ust Walentowej słyszałam; te same nieprawdopodobne słowa, potrącające teraz ze spotęgowanem wrażeniem o moją wyobraźnię, podniesioną natężonem słuchaniem nocnej opowieści. Chłód majaczącego szaro za oknem jesiennego brzasku rozchodził się po cichych kątach pokoju. Spojrzałam na Karolinę, otulającą się chustką.

— A on? — zagadnęłam z pewnem wahaniem — a... Wiktor?

— Wiktor? — powtórzyła dosyć obojętnie. — Ożenił się. Jestem przekonana, że chciał szczerze dotrzymać danego słowa i czekał, ale po latach milczenie moje musiało mu się wydać zapomnieniem. Nie przypuszczał zapewne, abym dotychczas nie była wolną. Tak, ożenił się lat temu kilka z bardzo bogatą żydówką. Nazwisko jego musi być pani znane. Zajął wybitne stanowisko w tutejszych finansowych sferach, i wiem, że po

zostaje na niem z Wielkiem pożytkiem dla kraju. Bogu dzięki. Wierzę mocno, iż, jeśli się u? ten sposób ożenił, to jedynie, aby sobie otworzyć drogę do tej szerokiej działalności społecznej" o jakiej marzył. Za szlachetny to był charakter, aby się miał sprzedać dla powozu i kucharza. Byłby się zmarnował przy urzędniczem biurku, przy którym lada kto mógł go zastąpić, a kraj miałby jednego mniej człowieka z pomiędzy garstki ludzi, pojmujących po obywatelsku zadanie sil pieniężnych. Jest zapewne dobrym i delikatnym mężem i musi być, jeżeli nie zupełnie szczęśliwy, to przynajmniej spokojnie zadowolony z urzeczywistnienia jednego ze swych ideałów. Wstała i spojrzała na zegarek.

— Jako już późno — rzekła — a raczej jako już wcześniej. Nie przepraszam pani za nieprzespaną noc, sama tego chciałaś. Lecz teraz idź

pani spocząć. Pan Strzemięczyc obudzi się lada chwila, a ja muszę się potem trochę przedrzemać. O dziewiątej wychodzę na lekcję.

— Jeszcze jedno — rzekłam, ściskając rękę, którą mi podawała, — nie powiedziałaś mi pani, dlaczego, mając dostateczne utrzymanie, zamęczasz się lekcjami w dzień, a haftami po nocach. Przecież niepodobna mi posądzić cię o zamięłowanie w zbieraniu pieniędzy.

— Owszem odparła, uśmiechając się, — zbieram je z prawdziwym zamięłowaniem. Jest to moja jedyna przyjemność. Patrzę na mój powiększający się kapitalik, jak matka na rosnące dziecko, i, jak ona, marzę, że coś dobrego świata

z niego przyjdzie. Cóż robić? Trzebaż przecie mieć jakiś cel w życiu.

— A nim jest? — ponowiłam, patrząc jej pytająco w oczy.

Zaczerwieniła się trochę.

— Nazwiesz mnie pani może śmieszna, starą romantyczką — rzekła z pomieszaniem, które ją dziwnie na chwilę odmłodziło. — Oto chcę zostawić po sobie żelazny fundusz dla... dla... Widzi pani, myślano już wiele o różnych nędzach ludzkich. Ale nikt nie pomyślał o biednych kochających się młodych sercach, którym brak materialnych środków staje na przeszkodzie do jedyne go, prawdziwego szczęścia, do małżeństwa, lub zatruwa je i niszczy w samym zawiązku. Ileż to par, potwornie niedobrych, sprzęga się na wieczną niedolę, a ile stworzonych dla siebie rozchodzi — tylko za sprawą tego okrutnego bytu! Mam już około dwudziestu tysięcy rubli. Suma ta powiększa się z każdym rokiem dokładanymi oszczędnościami memi i kapitalizowanym procentem. Jeżeli Bóg pozwoli mi pożyc jeszcze z jakie lat dwadzieścia,

spodziewam się ją conajmniej podwoić. Dochód od tego kapitału będzie szedł, co roku, na zapomogę w dzień ślubu jakich biednych ludzi, którym za jedyną kwalifikację potemu wystarczy wzajemna miłość i chęć do wspólnej pracy. Prócz tego, nieżyczący sobie korzystać ze wsparcia, będą mogli zaciągnąć pożyczkę bez procentu, spłacaną ratami, na zagospodarowanie się. O! ja już to wszystko obmyślałam i obmyślam ciągle, — raz wraz jakieś ulepszenia wpro

wadzając w mój plan ukochany. Chcę, żeby to nie wyglądało na jałmużnę, lecz na rodzaj przysługi, przez nieznaną przyjacielską rękę z poza grobu oddanej, którą bez wstydu przyjąć można. Na wypadek śmierci, mam spisany testament, a w nim całe to rozporządzenie, tak, jak mi się ono przedstawia.

Nigdy nie widziałam Karoliny, tak ożywionej, jak w tej chwili. Oczy jej błyszczały, uśmiech rozjaśniał twarz zmęczoną i bladą.

— Nikt po mnie nie zapłacze — mówiła dalej — niechże mam przynajmniej tę pociechę, że kiedyś, po latach, ludzie obcy i nieznani uśmiechną się do życia za moją przyczyną; niech ślad mojej samotnej, szarej egzystencji, osiadzie swobodną myślą na czole jakiej młodej żony i matki. Pierwszej, która z mego zapisu skorzysta, dostanie się i ta obrączka; niech ją nosi kochana i kochająca na pamiątkę istoty, dla której ten symbol miłości i szczęścia stał się bezwiednym katem i tamą do tego wszystkiego, co zwykł dawać innym.

Byłaby mówiła jeszcze i snuła dalsze plany, bo widocznem było, jak ją ta jej myśl ulubiona rozmarza, gdyby nie słaby ruch, jaki się w drugim pokoju dał słyszeć.

— Pan Strzemińczyc się budzi — rzekła sama, jakby się ze snu ocknąwszy.

Uścisnęła mnie krótko i silnie.

— Dziękuję pani, że mnie słuchała — dorzuciła jeszcze we drzwiach, — teraz, — zapomnij!

Wyszłam i skierowałam się zwolna przez

podwórze ku memu mieszkaniu z takim uczuciem, jakgdyby cały ciężar tej bezgranicznie smutnej kobiecej doli, osunął mi się nagle na ramiona.

* * *

W pięć tygodni po tej pamiętnej dla mnie nocy pan Strzemińczyc zmarł, a raczej zgasł niepostrzeżenie, siedząc w fotelu, bez jednego jęku, bez głębszego nawet westchnienia. Znajdująca się wtedy w pokoju Karolina spostrzegła to dopiero, kiedy był już zimny.

W całym domu śmierć znanego wszystkim Ahaswerusa, zrobiła wielkie wrażenie.

Walentowa, chociaż go ciągle oglądać w trumnie chodziła, nie mogła w zgon staruszka uwierzyć, i zaklinała się znowu na dzieci, że go żywcem pochowano, i że on się, ani chybi, w grobie obudzi i pod ziemią żyć będzie, bo już mu tak sądzono.

Niepodobna jej było to wyperswadować. Karolina nazajutrz po pogrzebie zdjęła swoją ślubną obrączkę i schowała ją do skrytki, w której leżał jej testament.

Była wolną, mogła bez przeszkody oddać się pracy dla drugich, zawsze dla drugich, bo już jej samej wolność na nic potrzebna nie była. Poszła znowu pomiędzy obcych, jako nauczycielka domowa, uznawszy ten rodzaj zajęcia za najzyskowniejszy dla siebie, a raczej dla swoich zamiarów i straciłam ją z oczu.

Ale pamiętam o niej zawsze, jako o jednym z najszlachetniejszych charakterów, jakie mi się zdarzyło spotkać, a jeśli nie spełniłam jej prośby i zamiast zapomnieć, spisałam jej opowiadanie i puszczam je w świat, to czynię to z niedorzeczną, zapewne, myślą, iż kiedyś także po latach, jakich już wiele od tego czasu upłynęło, dostać się ono może przypadkiem W ręce tej młodej, szczęśliwej kobiety, na której błyszczyć będzie ślubna obrączka Karoliny. Niech je przeczyta wraz z mężem i niech oboje wymówią z wdzięcznością to imię pomiędzy pocałunkami.

KONIEC